



ROK LIX

Nr 52

ROK LIX NOWY ROK WARSZAWA, DNIA 25 GRUDNIA 1926 ROKU DŁUGO GÓDNIOWE I LUSTROWANE DLA KOBIEK

TREŚĆ NUMERU: Boże Narodzenie — *M. Dąbrowska*. Wiersz: „Choinka” — *Felicja Kruszevska*. Boże Narodzenie u ludu polskiego — *Janina Krajewska*. W Boże dni grudniowe — *C. Walewska*. Śladem Św. Franciszka — *Karolina Bielańska*. Wiersze: „Biała kolenda” „Niebieska kolenda” — *Zofja Rościszewska*. Dla naszych dzieci — *Stefanja Szuchowa*. Upiorzyca — *H. Ceyringerówna*. Konferencja (z cyklu „Czekanie”) — *Helena Boguszevska*. Tycjan — *N. Samotyhowa*. Kobieta w świecie i w domu — *Z. B.* „Gwiazdka” angielska — *H. Skarbek*. Jazz-Band. Z teatrów — *Z. P.* Dział praktyczny: Mody i roboty. Stora ozdobiona szydełkiem i haftem. Suknie balowe — *W. A.* Zabawki — *W. N...cha*. Kaktusy — *W. D.* Oszczędne kuśnierstwo — *W.* Wilja na dalekich kresach — *Pani Elżbieta*. Korespondencje działu praktycznego. Opis sukien i robót. Dodatek powieściowy: „Trzy kobiety annamickie.” — *C. Chivas - Bazan* (tłum. *Dr. M. Kastarska*).
Arkusze wzorów.

BOŻE NARODZENIE

Istnieje stara kolenda, stara kolenda, która mówi:

„Weselcie się ludzie, już wam dobrze będzie.
Bóg zwalczył szatana, co zdradził Adama.
Wszystko się zmieniło, jak nigdy nie było.
Wino rzeką ciecze, ciepło, jakby w lecie.
Lwami drzewo wożą, niedźwiedziami orzą.
Zając z chartem siedzą, z jednej misy jedzą.
Liszka pasie kury, kot myszy i szczury,
Wilk owcom nie szkodzi, wespół z niemi chodzi.
Słusznie się radować i Bogu dziękować,
Iż przez Narodzenie zmienił przyrodzenie,
Szatana zwojował, w piekle go przykował,
A człeka grzesznego wziął za brata swego“.

Gdy byłam dzieckiem, wierzyłam święcie we wszystkie słowa tej kolendy, wygłaszanej raczej w postaci krzyku, niż śpiewu, przez chłopców, którzy chodzili z szopką.

Czyż sam widok choinki nie usprawiedliwiał tej wiary? Czyż nie wisały tu na świerczynie jabłka, daktyle i figi? A jeżeli wisały, czyż nie możliwym tak samo fantastyczne przekształcenie całego świata w sprzeczny ze sobą samym cud?

Wiara ta ożywa w sercu każdego z nas w dobie, kiedy kolenda rozlega się nad światem, odzianym w złoto i srebro Bożego Narodzenia. Nic pewno nie wstrząsa sercem ludzkim tak silnie, jak koniec czegoś starego, a początek Nowości — a to jest właśnie Boże Narodzenie, — i to jest właśnie Nowy Rok. W czasie tych świąt ludzie klimatu umiarkowanego od tysięcy lat obchodzą Narodziny Nowego Słońca.

Człowiekowi nie potrzeba do życia więcej, jak tylko nadziei, że nic się nie kończy na zawsze. Oto świat zdaje się zamierać w króciutkich dniach zimy — olbrzymia noc dzień po dniu obkrawa światło słońca, zorza poranna styka się prawie z wieczorną. I naraz okazuje się, że noc się trochę cofnęła. Niewiele. Tylko o parę mgnień oka. Przybyło dnia na „kurzy skok“. Lecz dla człowieka to dosyć. Gdy dzień się o parę minut przedłuży, on już śpiewa o wiosnie, on już widzi pod nowo narodzonem słońcem — zielony Maj.

Już w tem samym ileż radości — a cóż dopiero, gdy do Nowego Słońca dołączyło się święto Nowego Boga i Nowego Człowieka.

Gdy się Chrystus narodził, stało się więcej, niż jakby się wiosna zapowiadała po ciężkiej zimie. Bo wiosna i zima następują po sobie wciąż tak samo, a Chrystus zapowiedział na ziemi zupełne zaprzeczenie tego, co było przed Nim — olbrzymią Nowość, przez którą wszystko się miało zmienić i być, jak nigdy nie było.



Święto Gwiazdki, to święto Tego, który, gdy stał się młodzieńcem, wstąpił na górę i powiedział:

„Słyszeliście, iż rzeczone starym: Będiesz miłował bliźniego swego, a będziesz miał w nienawiści nieprzyjaciela twego“.

„Aleć ja wam powiadam: Miłujcie nieprzyjacioły wasze“.

I który słowami kazania na górze zburzył stary świat, a dał początek nowemu.

Tę wielką zmianę—dokonywującą się niekiedy w duchu, ale niedokonaną jeszcze w tępym świecie materji, lud prosty wyraził słowami przytoczonej tu, wzniosłe niedorzecznej kolendy.

Od czasu, gdy się Chrystus narodził, i od czasu, gdy ta kolenda powstała, tęsknota za tem „żeby wszystko się zmieniło“ i żeby „ludziom dobrze było“, błąka się wciąż po naszym życiu—i z osobliwą siłą wybucha w czarowne święto Gwiazdki. Wówczas to każdy z nas „Nowości potrząsa kwiatem i obleka nadzieję w złote malowidła“.

Widzimy, że zając z chartem bynajmniej z jednej misy nie jedzą. Widzimy, co gorsze, że nawet ludzi często niebezpiecznie przy jednej misie posadzić.

Widzimy, o nieba, że gdy Bóg „człowieka grzesznego wziął za brata swego“ — my — złego czy dobrego, o tyle gotowi jesteśmy brać za brata, o ile z jego cnót, czy grzechów, możemy dla siebie wyciągnąć jakie korzyści. Widzimy to wszystko. I nawet nie myślimy w dzień Wilji o tych wszystkich sprawach Nowego Świata, ni o Braterstwie ludzi. A jednak czujemy wtedy bezosobistą wdzięczność i pragniemy każdemu coś dobrego wyświadczyć,

A jednak serce nasze, pomimowoli, nie jest w te dnie niczem innem przepelnione, jeno braterstwem. Bez wiedzy o tem stajemy się lepsi od siebie samych i stawiamy na stole wigilijnym nakrycie dla nieznanego wędrowca. Ktokolwiek by to był — grzeszny, czy też uczciwy, biedny, czyli bogaty, nikt inny być to nie może, jak tylko brat. W dniu tym próg każdego domu staje się progiem rodzinnym dla Nieznanego człowieka. Oto jest symbol zarzewia tej wielkiej Zmiany, która tli w naszej duszy od czasów Betlejem. Zarzewie to rozpala się na chwilę pod wpływem jednoczącego wszystkich obrzędu, a potem znowu przygasa.

Lecz przyjdzie czas, kiedy zapłonie na zawsze—kiedy rzeczywiste Braterstwo stanie się rzeczą prostą, przyjemną i potrzebną do życia tak, jak bywa nam potrzebna dziś wszelaka wyłączość.

I kiedy zacznijemy święcić nie tylko Narodziny Boga, który to zapowiedział, ale Jego Zwycięstwo.

M. DĄBROWSKA.

FELICJA KRUSZEWSKA

CHOINKA

Przyszłam, przyszłam zielona, pachnąca,
z suchym chrzęstem, drewnianym tupotem,
rosochata, kudłata, kłująca,
z cienką korą i żywicznym złotem.

Z wiatrem, chłodem i leśnym zapachem,
z rosą śniegu, kąpiącą na ciepło...
Już, już stoję wśród ścian białych, pod dachem
i wyciągam ramiona okręple.

Mączę spokój, meble w kąty rozpraszam,
krzyczę głośno o święcie! o święcie!
Cały pokój, cały dom wasz zapraszam
w swoje mocne, serdeczne objęcie.

Stroszę igły i wysuwam gałązki
dygocząca i szumiąca z uciechy
po łańcuchy, złote gwiazdy i wstążki,
po jabłuszka i srebrzone orzechy.

Mikołajka i Jezuska-chłopczyka,
po ogieńków kolorowych armje,
po anioła i po serce z piernika,
którem wszystkich, jak radością, nakarmię.



BOŻE NARODZENIE U LUDU POLSKIEGO



Boże Narodzenie jest bardzo uroczyste obchodzone przez lud polski. W niektórych okolicach lud nazywa je Godami lub Świątkami. Obfitują one w tradycyjne obrzędy, których powstanie sięga czasów zamierzchłych. W dniu tym, jak wierzą, w przyrodzie dzieją się rzeczy niezwykle. W pewnej chwili woda w źródłach, rzekach i potokach w wino, czasem w wino i miód się zamienia. Bydło rozmawia ludzkim głosem i wypowiada tajemnice, nieznane człowiekowi.

Biada jednak temu, któryby chciał zasłone z tego świata tajemnic zerwać, czeka go kara! Znane są przypowieści o człowieku utopionym w źródle, który chciał w dzban wina naczepać, o gospodarzu, co podsłuchiwał rozmowę wołów i od nich usłyszał wyrok śmierci.

Dzień Narodzin Dzieciątka Jezus jest równocześnie, w tradycji ludu i jego wierzeniach, dniem, rozpoczynającym wszystkie czynności nowego roku. Według wiary ludu jest, jakby zapoczątkowaniem nowego życia, skupia w sobie wszystkie moce, które będą miały wpływ na bieg wydarzeń w przyszłym roku, a wszystkie czynności, wykonywane w dniu tym łączyć się mają z przyszłością.

To też lud unika kłótni, by nie kłócić się rok cały. Każdy stara się zachować pogodny i wesoły usposobienie.

Przy wieczerzy wigilijnej gospodyni łamie się opłatkiem z każdym domownikiem, dając tem znać, że gotowa jest dzielić się rok cały chlebem z ludźmi, sercu jej bliskimi.

Obfitość i ilość dań także ma wpływ na przyszły rok, który ma być tak dostatni, jak wieczerza wigilijna.

W dniu wigilijnym krzątają się około gospodarstwa i chałupy wszyscy domownicy, a więc gospodyni wymiata śmieci ze wszystkich kątów domu, uprzęta czysto izbę, przygotowuje ziarno dla ptactwa, a gospodarz i parobcy rzną sieczkę dla bydła, by nie robić tego podczas świąt.

W dniu tym najbardziej uroczystą chwilą jest wieczerza wigilijna, zwana postnikiem, pośnikiem, lub, jak na Kresach Wschodnich, — kucją. Jest ona postna. Składa się z 7, 9 lub 11 potraw. Lud przestrzega, by ilość dań była nieparzysta, inaczej urodzaje w tym roku nie będą obfite.

Rodzaj potraw zmienia się, zależnie od miejscowości. Podają na wieczerzę ryby, lub śledzie, „betki“ t. j. grzyby, owoce, w niektórych miejscowościach „kucję“, t. j. warzoną pszenicę z miodem i makiem, a także bliny, oładki i bób.

Przygotowuje się ją od rana, a spożywa, gdy pierwsze gwiazdy na niebie zaświecą.

Wtedy gospodyni kładzie siano pod stół, lub ścielę pod białym obrusem, a gospodarz w rogu izby,

lub we wszystkich czterech kątach, stawia po snopku różnych zbóż.

Gospodyni dzieli się ze wszystkimi opłatkiem. Życzą sobie wzajemnie „dosiego roku“ t. j. długoletniego i szczęśliwego życia.

Do wieczerzy siada się w zupełnej ciszy i skupieniu. Od stołu odchodzić może tylko gospodyni.

W tym dniu ogólnej radości i wesela lud nie zapomina i o zmarłych.

Z każdego dania odkłada się potrosze, by zostawić dla dusz bliskich i nieznanych.

Lud wierzy, że dusze ich mają przyjść i wieczerzać z żywymi.

Zwyczaj przyjmowania umarłych nie we wszystkich dzielnicach Polski obchodzone są jednakowo i nie wszędzie się zachowały. Te, które zostały, objawiają serdeczne zachowanie się ludu względem zmarłych, których dusze czasem w chwilach uroczystych, jak np. w dniu wigilijnym, przychodzą odwiedzić pozostałych na ziemi.

Dla nich kładą na stole wigilijnym jedno nakrycie więcej i jedno miejsce zostawiają nie zajęte.

Następnie wzywają dusze zmarłych, by przyszły pożywić się i ogrzać przy wspólnej wieczerzy. Po ukończeniu jadła, potrosze gorzałki wylewają na obrus i potrosze dań nań kładą, lub garnczki z wieczerzą zostawiają na noc pod stołem — dla dusz zmarłych.

Na Huculszczyźnie obrzędy przyjmowania zmarłych zachowały wiele cech dawnych.

Gospodyni odkłada do misy wieczerzę dla zmarłych. Kładzie tam kołacz, pośrodku stawia kubek miodu, wszystko obkłada jabłkami, orzechami, między którymi umieszcza świeczkę.

Misę oddaje gospodarzowi. Ten stawia ją na stole, klęka wraz z całą rodziną i modli się, wzywając dusze zziębnięte i głodne, by przyszły posilić się jadłem, dla nich zastawionem, i ogrzać się przy „żywym ogniu“, rozpalonym na ognisku domowym od rana.

Następnie gospodarz po pół łyżki różnych straw i po garnczku miodu stawia w kącikach okien, rozsypuje po garści bobu w rogach izby, wszystko „dla aniołów i dusz zmarłych“, które nocy tej przychodzą się pokrzepić.

Łyżki i miski zostawiają po wieczerzy na stole, bo dusze „liżą łyżki“.

Wiara ich w obecność dusz jest tak silna, że przed siadaniem zdmuchują miejsce, aby nie przygnięść jakiej duszy, których, w ich mniemaniu, wiele zbiera się w izbie.

Późniejszym przeobrażeniem zwyczaju odkładania jadła dla zmarłych jest zostawianie pokarmu, czasem całego stołu z resztkami spożytej wieczerzy — dla Dzieciątka Jezus.

Często z jedzeniem wigilijnem, jak to bywa na Mazowszu np. z barszczem—wychodzą poza ściany domu, obnoszą je dokoła chaty i wylewają po łyżce na cztery jej węgly — dla dusz zmarłych. W dniu tym lud nie zapomina i o bydle, które karmicielem w wiejskiej gospodarce nazwać by można. To też gospodarz zanosi mu kolorowy opłatek i resztki potraw wigilijnych, aby się dobrze wiodło.

Biesiadnicy po skończonej wieczerzy ubierają choinkę, zwaną w Krakowskim „sadem“, a w Tarnobrzescu „podłaznicą“—piernikami, jabłkami, orzechami, „światem“, zrobionym z opłatków, a czubek przystrajają złoconą gwiazdą.

Choinkę zawieszają u pułapu, lub ustawiają na stole, lub podłodze.

Tymczasem gospodyni z dziewczką przynoszą pełną miskę smakołyków, a inni podrzucają słomę, ustawianą w czasie wieczerzy w kącie—do pułapu. Opadłe źdźbła zamiatają dopiero drugiego dnia i ścielą bydlu, by się dobrze chowało.

Gospodarz idzie do ocuconych z odrętwienia drzew owocowych, przemawia, jakby do istot żywych i zamierza się na nie siekierą. Chce w ten sposób wymóc, by obficie rodziły. Potem je podwiązuje powróstem ze słomy, która w czasie wieczerzy stała w kącie izby.

Następnie lud dąży na pasterkę. Jadący wozami prześcigają się wzajemnie, bo kto prędzej dojedzie do kościoła, temu obficie zboże obrodzi.

W kościele młodzież niezawsze utrzymuje powagę. Znane są jej figle, płatanie modlącym się, których po kilku zwiążują lub zeszywają.

Obrzucają ich także bobem, lub drobnymi kamykami.

Skąd się wziął ten zwyczaj, któremu towarzyszą śmiechy i wybuchy wesołości, niewiadomo. Tłumiony przez kaznodziei 18 wieku potępiających hulaszczą wesołość młodzieży, nie licującą z powagą kościoła, zachował się, pomimo to, do dziś dnia.

W niektórych miejscowościach jest on pamiątką ukamienowania św. Szczepana, i dlatego lud nie podczas pasterki, ale w drugie święto Bożego Narodzenia, w dzień św. Szczepana w czasie nabożeństwa rzuca bobem, lub owsem, z chóru na księdza.

Przepięknym zwyczajem ludowym Świąt Bożego Narodzenia, jest zwyczaj chodzenia z szopką, zwaną także jasełką.

Zwyczaj przedstawiania jasełek bierze początek w średniowiecznych misterjach, których tło i obrazy lud nasz przejął i przerobił na swoją modłę.

Šzopka jest to z pudła drewnianego zrobiona stajenka, oklejona papierem. W niej leży Pan Jezus na sianku. Przy żłobie stoi osiołek i wół, a Matka Boska i św. Józef przyjmują hołd od przychodzących.

Z szopką tą chodzą chłopcy, przebrani za Heroda, djabła, żyda, śmierć. Przytem śpiewają kolędy, których lud zna wiele, i dostają za to od gospodarzy poczęstunek: mięso, jaja, chleb, jabłka, pierniki. I tak chodzą od domu do domu, wysyłając naprzód z zapytaniem do gospodarzy, czy przyjmą króla Heroda.

Najbardziej popularnemi figurkami w szopce są: szlachcic z karabelą i jego towarzyszka w czepcu, tańczący polskiego, potem smagły Ukrainiec, gnący się w prysiadach, Niemiec w pluderkach z grubą Niemkinią, chłopci w strojach ludowych, cygan z niedźwiedziem, wreszcie Herod z żydem.

Herod wtacza się do stajenki, grożąc berłem całemu światu, dopóki wychudła śmierć nie poskromi jego zuchwalstwa, a żydka djabeł nie porwie do piekła.

Kolędy są śpiewane nie tylko przez chłopców, chodzących z szopką, śpiewa je lud cały i to z wielkim zamiłowaniem.

Kolędy są to pieśni religijne. Opowiadają one o Narodzeniu Jezusa, o wypadkach, które przy tem miały miejsce, a czasem i o szczegółach z życia Chrystusa. Na naszych ziemiach przybrały one charakter narodowy i ludowy. A więc, stajenka betlejemka jest podobna do jakiejś szopki wiejskiej, pastuszkowie—do naszych pasterzy, ubranych w stroje ludowe, królowie—do naszych magnatów.

To też kolędy, śpiewane przez lud, mają swojski charakter, lecz nie są tylko hymnem, śpiewanym na cześć Nowonarodzonego, ale zarazem pieśnią serdeczną i braterską, która umie przemówić do uczuć naszego ludu, bo jest swojska i polska.

Zwyczaje te i obrzędy — jedne ze skupieniem i powagą wykonywane przez lud polski—inne z wesołością, niestety, w niektórych dzielnicach Polski coraz bardziej zanikają, lub tracą swoją barwę.

Jedno życzenie należałoby wypowiedzieć przy nadchodzących świętach: oto, by swoiste piękno zwyczajów ludowych nie zatarło się z biegiem czasu, a lud te zwyczaje, uświęcone przez tradycję staropolską, nie pogrzebał w zapomnieniu. *Janina Krajewska.*



W BOŻE DNI GRUDNIOWE

Na pola i szare miasta schodzi rozmodlenie. Szuka serc. Klękają cisi. Jakaś bezmierna tkliwość całuje ludzi w same usta. Człowiek radby klęknąć. Drży w sobie i wyciąga ręce. Do jakiegoś zwidu, mocniejszego, aniżeli wszystkie jego rozumowania. Do Potęgi, która stworzyła świat. Coś ogarnia myślą, czuciem.

Wielką Tajemnicę — i boi się, żeby jej nie spłoszyło ludzkie słowo.

W noc Bożą Wigilijną dzieją się cuda. Spływają duchy świętych i chodzą między ludźmi. Dziecko wyciąga rączki do świateł na choince. Dorosły szuka iskier w sobie. Tlą głęboko. Czasami rozpali się jakaś jedna.

Ugrzeje, upieści, utuli wspomnieniem serdecznym, zwidem radosnym. Niekiedy, jak drzazgi kolące, szarpia się w zastygłym popiele i bola.

Człowiek bez wspomnień, jest jak ptak, któremu połamano skrzydła.

Na puste pola, na szare miasta schodzi rozmodlenie. Kładzie ręce na duszach zbrodniczych. Nie wie złodziej, okrutnik, morderca, przyczajony u progu złego, czemu pada na ziemię i płacze? Jakby anioł zajrzał mu w oczy. Może z mgieł grudniowych? Może z pyłów śniegu? Wielka jest siła tego anioła. Zmocuje instynkt szatański. Weźmie za bary Pochronia i rzuci na lazurowy brzeg żałosnych pokajań.

Dusza, ocalona w noc wigilijną, jest jak strącona gwiazda, która wraca do nieba.

Marzy mi się..

Przez puste pola do szarych miast wędrują w noc wigilijną ojcowie i siostry zakonne. Stukają do izb Pochroniów. Siadają na ławach, potem zbrodniczym przesiąkniętych. Rozmawiają. Inaczej, niż z dzikusami Afryki, Indji, Sybiru. Rozmawiają o wypadkach dnia. O polityce bieżącej. O bohaterach narodu. O wielkich świętach pamiątkowych rocznic. O poezji światła na choinkach.

O miłosierdziu bożem i radości przebaczenia, która spływa w noc Bożych Narodzin. O ciszy dusz i szczęściu modlitwy. Może padłby Pochroń na

kolana i razem z bratem pielgrzymem, z białą siostrą zakonną odmówił pacierz? Może roztajałoby jego serce?...

Może nie byłby, jak dziki tygrys, lew, pantera, albo jakiś nieznan, a straszny potwór dżungli zamorskiej? Może rzuciłby nóż o ziemię i wyparł go się na zawsze?...

Pustynie serc ludzkich, przezarte jadem grzechu!... Łatwiej zwalczyć lwa, tygrysa, szakala... Ale... na szalach czynu... jedna dusza zbrodnicza, piekłu pokus wydartą, Bogu poniesioną, czy nie przeważą całej wsi dzikusów, którzy we własnym zrozumieniu zła nie przyczyniają?...

* * *

Marzy mi się w Boże dni grudniowe, w Noc Wielkich Narodzin, że serca ludzkie powinny być, jak łuki napięte ku niebu. Na wsie i miasta idzie rozmodlenie. Spala się w sobie nienawiść. Wstaje miłość.

Bracia — wichry, siostry — chmury!... Ludzie — drodzy, bliźni!...

Boże dni grudniowe niech będą świętem duchów pojednania i miłości. Myślmy o nich i cześć im oddawajmy. Niech spływa na nas łaska ich przeznaczeń. Niech, jak św. Teresa, zsyłają deszcz róż na ziemię.

Może wróg wrogowi poda rękę i zamienią spójnienia przyjazne.

Może brat, który znenawidził brata, przemówi do niego życzliwie. Może ojciec przebaczy synowi, którego znać nie chciał.

Uciszmy się w sobie. Bądźmy jak dzieci, które wyciągają ręce do świateł choinki i cieszą się, że Bóg przyszedł na świat. Prasa niech zamknie rubryki zbrodnicze i porachunki partyjne. Niech nam piszą o miłości, która stawia gmachy niespożyte. Niech przez te dni ciche, dni drogich wspomnień, nie dochodzą do nas pomruki złego.

„Pomniejszona jest dusza człowieczeństwem na ziemi łez i krwi“¹⁾.

C. Walewska.

¹⁾ L. T. „Powrót do Boga“.



KAROLINA BIELAŃSKA

ŚLADEM ŚWIĘTEGO FRANCISZKA

W 10-TĄ ROCZNICĘ ZGONU „BRATA ALBERTA“

W roku, w którym Assyż rozsiewa na świat całą glorię świetlanej pamięci „Biedaczyny Bożego“, przedziwnego naśladowcy Chrystusa, umysły nasze wracają raz po raz do problemu świętości. Ze złotego tła legendy występuje ku nam postać tak żywa i bliska, jakby wieki długie nie dzieliły nas od niej, Miłość, która płonęła w sercu świętego tak silnie, że spłonęło w niej, jak świeca, jego ciało, ogrzewa nas dotąd. I nie wydaje nam się paradoksem modernistyczny wiersz, opowiadający, że ktoś to „widział św. Franciszka na Czerniakowskiej, jak gładził po głowie dziecko Czarnej Mańki...“

Co jest rzeczą pewną, to, że byli ludzie, którzy widzieli cień św. Franciszka w zaułkach nędzy naszej. Nie warszawskiej, wprawdzie, ale krakowskiej. Nie tak wiele lat temu. Nazwisko jego znali dobrze nędzarze; ludzie światowi długi czas nie wiedzieli, czy szaleńca, czy mędrca w nim widzieć? (tak samo, jak mieszkańcy Assyżu, wobec syna pana Piotra Bernadone). Zwanego go Bratem Albertem. Dziś, kiedy go już nie ma, i gdy grono wiernych przyjaciół, mających cud Jego życia w żywej pamięci, marzy o jego beatyfikacji, jakże dziwnie pomyśleć, że można było, tak bardzo łatwo, otrzeć się o świętość, trudząc się pobożną pracą wśród szarego tłumu biedaków.

Nazwisko polskiego naśladowcy Świętego z Assyżu było Adam Chmielowski. Urodził się w r. 1846 w Czernicy nad Wartą, z rodziny ziemiańskiej. Młodość miał tak samo, jak Jego wielki poprzednik, rycerską i bujną, ale smutniejszą, tak, jak smutniejsze są szare mgły polskie od błękitów słodkiej Umbrji.

Powstaniec i artysta, Grottgera współczesnik i przyjaciel, później Maksa Gierymskiego opiekun w chorobie najczulszy. Siedemnastoletnim chłopakiem wyrwał się ze szkoły Puławskiej, poszedł w lasy. Bił się w kilku potyczkach, aż pod Trojaczycami, ranny, z nogą zdruzgotaną kartaczem, dostał się do niewoli. W szpitalu amputowano mu nogę. Rodzinie udało się wykraść go ze szpitala i wywieźć za granicę. Inaczej byłby pewnie poszedł na Sybir, jak Rafał Kalinowski, później również, jak on, in odore sanctitatis żywot kończący w Krakowie, jako zakonnik.

Obyż ta epoka historii naszej mająca tyle pierwiastków mistycznej i ofiarnej świętości w sobie, doczekała się Patronów swych uczczenia, tak, jak doczekała się Francja swej Joanny!

Ale tymczasem ta natura, kipiąca życiem, szukała swej drogi gdzieindziej, na szlakach sztuki, głęboko pojętej.

W Monachjum Chmielowski pracował sumiennie, uczęszczając do Akademji, a wieczorami zagłębiał się w lekturze filozofów i poetów. Kaleka, niezamożny, walczy z trudnościami życia, tęskni za krajem, który dlań zamknięty, aż wreszcie dobija się i uznania i sławy. W Krakowie, gdzie osiada w latach osiemdziesiątych, cenią go i szanują, Jego obraz „Ecce ho-

mo“ zwraca uwagę znawców głębokiem odczuciem, jakby jakie dzieło starowłoskiego mistrza; słynny jest portret jego Heleny Modrzejewskiej.

Wytworny, piękny, w sile wieku, artysta ma przed sobą drogę do sławy otwartą.

Aż pewnego wieczora...

„W mroźną noc grudniową wracał Chmielowski z rautu „pod Baranami“ (pałac hr. Adamowej Potockiej) w towarzystwie hr. Wodzickiego i innych panów. Po drodze rozmawiano o nowej ogrzewalni, którą gmina miasta Krakowa otwarła dla bezdomnych nędzarzy. O ogrzewalni tej kursowały po mieście legendy. Młodzi ludzie zapragnęli przekonać się naocznie, ile w tych wersjach jest prawdy. — Poszli. — Po otrzymaniu sutego napiwka, wpuścił ich stróż miejski. Słabe światło latarki narazie nie pozwoliło im nic dojrzeć. Dopiero, gdy oczy oswoiły się z ciemnością, zobaczyli sceny, jakby żywcem z Dantejskiego piekła. Lecz wtedy w sercu ówczesnego Adama Chmielowskiego zakiełkowała iskra Bożall!“ (Michalina Janoszanka: Brat Albert. Kraków, 1926).

Wnet potem, uzyskawszy pozwolenie na pojechanie do stron rodzinnych, odwiedza rodzinę, bawiąc na Podolu. „Tam w ciszy wiejskiej, wśród równin podolskich, usłyszał w sercu swoim głos powołania i postanowił pójść za tym głosem“. Zerwał ze światem. Zerwał ze sztuką swoją. Bogu i nędzy, tej największej nędzy szumowin miejskich poświęcił swoją duszę. U OO. Kapucynów w Krakowie złożył ślubowania zakonne i w r. 1888, jako brat Albert, założył z gronem kilku przyjaciół Zgromadzenie Braci Tercjarzy, posługujących ubogim, wskrzeszając jakoby dzieje pierwszych dni zakonu św. Franciszka. Nie zamknął się w murach, przeciwnie, otworzył swoje własne ubogie mieszkanie na oścież.

Naprzód przy ulicy Basztowej, l. 4, potem na Skalce. A wreszcie, gdy liczba jego pupilów z dniem każdym rosła, dostał od miasta ową ogrzewalnię nad Wisłą, siedlisko nędzy i ohydy, której widok wstrząsnął go niegdyś tak głęboko.

O działalności jego wśród nędzarzy pisaćby tomy można. Powtórzyłby się godziło słowa Jørgensena o św. Franciszku: „Nie dawał bezmyślnie jałmużny, lecz zawsze z celem wpłynięcia na obdarzonego, aby starał się być lepszym i cnotliwszym“. Walczył o dusze i — zwyciężał. Aby poznać niezwykłą zgoła procedurę jego działalności, przeczytać warto karty, jakie poświęcił Żeromski gniazdu jego w górach (Zameć). Bo namnożyło się tych albertyńskich przytulisk po całej ziemi polskiej. Kto do nich zapukał, dostawał czystą odzież, ciepłą strawę i pracę. Nie pytano go o nic, widziano tylko nędzarza... Ten, który nędzarza ratował, miał na sobie szary habit ubogi, spał na twardym tapczanie i jadł prostą strawę wraz z nimi...

Czciciel św. Franciszka i Dzieciątka Jezus, oddał Bogu ducha w sam dzień Bożego Narodzenia r. 1916, przeżywszy lat 70, nie doczekawszy odrodzenia Polski, o które walczył w swojej gorącej młodości z szablą w ręku, o które wiódł walkę z szatanem, aż do ostatniego swego tchnienia.

ZOFJA ROŚCISZEWSKA

BIAŁA KOŁĘDA

Schodzisz do nas w promieniu białym księżycy,
Wita Ciebie w stajence biała dziewica,
W białych szatach świątecznych i w skrzydeł bieli
Zachwyceni Anieli—cicho stanęli.

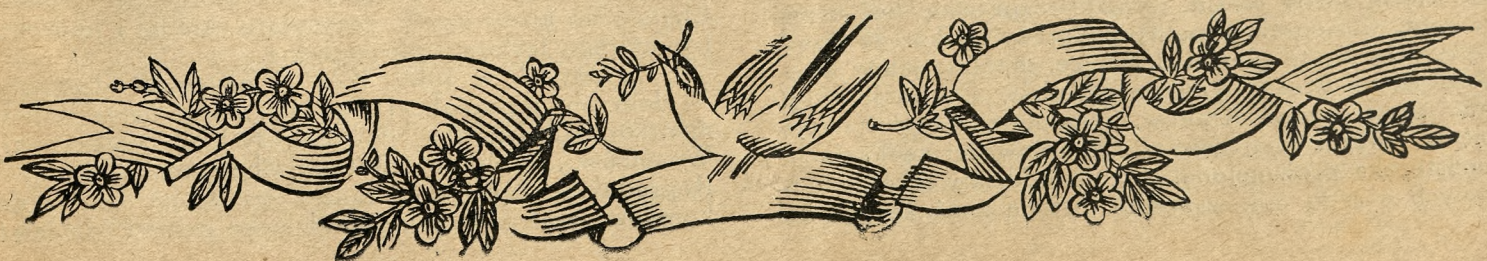
Na szybach kwitną białe dla Ciebie kwiaty,
Północ bije... w kościołach białe ornaty,
Ksiądz łamie białą hostję, drży w niej Twe serce,
A Ty nam błogosławisz w białej pasterce

NIEBIESKA KOŁĘDA

Pastuszkowie wypatrują niebieskie oczy,
Czy to polską drogą do wsi Pan Jezus kroczy?
Niebo—czara granatowa, złotem nalana,
Patrzy na Dzieciątko małe—swojego Pana.

Matka Boska w płaszcz niebieski syneczka tuli
Aniołowie na skrzypeczkach grają mu: luli,
Kadzidlany dym niebieski pachnie, jak łąki,
Jak niebieskie polskie kwiaty, bratki i dzwonki

Trzej Królowie wiozą dary ze switą całą,
Pierwszy—śliczną, turkusową koronę małą,
Drugi—berło, trzeci—szatki, tkane w bławatki
I składają dary u stóp Niebieskiej Matki.



DLA NASZYCH DZIECI

„Ziemia“, organ Towarzystwa krajoznawczego, zbiera po całej Polsce wieści, wydarzenia, statystyki, dodające otuchy, przeciwstawiające się powodzi żalów, darcia szat, i targaniu się za włosy. Rezultaty pracy, sprawozdania, opinie działają, jak promienie słońca po mgłach i chłodzie: czytając to, chce się żyć i pracować.

Mam przed sobą czasopisma dziecinne francuskie i belgijskie, oraz rocznik 1925—6 naszego czasopisma dla dzieci i młodzieży „Płomyk“. Jestto jedno ze zjawisk wyżej wspomnianego typu. „Płomyk“ nie tylko nie ustępuje dziecinnej prasie zagranicznej, ale pod wieloma względami ją przewyższa. Jest poważniejszy i piękniejszy.

Już przy pobieżnym przeglądaniu rocznika uderza nas pietyzm, z jakim redakcja traktuje dziecko. Najstaranniejszy i wszechstronny dobór treści, bogactwo tematów, znakomite ilustracje i śliczne fotografie, oraz pierwszorzędne nazwiska—wszystko to warto dla dziecka zaprosić, wyszukać, dobrać, ułożyć. „Płomyk“, niosąc radość dziecku, kształci obywatela, wychowuje artystę. A rozchodzi się w 20 tysiącach egzemplarzy i dociera wszędzie.

Twórcą i motorem tej pracy jest pani Helena Radwanowa.

Określenie celu wychowania, w sformułowaniu komisji Edukacyjnej, brzmi: celem wychowania powinno być aby wychowankowi było dobrze, i z nim było dobrze. Zasadą naczelną wychowania, według sformułowania międzynarodowej Ligi Wychowania, której kongres odbył się roku ubiegłego w Heidelbergu, jest supremacja ducha nad materją. Tak, czy inaczej sformułujemy sobie naczelną dewizę tych, którzy kształceniu człowieka poświęcają pracę życia,—miłość, a nie nienawiść,—idealizm, a nie praktyczność i wyrachowanie (jako ideał) kształci dusze na czyste i zdrowe. Pojmuje to „Płomyk“ i stara się miłość, jaknajszerzej pojętą, wszczepić i wyhodować troskliwie w duszy dziecka polskiego.

A więc miłość Boga, ojczyzny, braci. Tak, ale nie tylko. Oto szereg artykułów: „Wasz rówieśnik, chłopczyk z kraju herbaty“, „Wasi rówieśnicy pod włoskim niebem“, „Rączy Jeleń, mały indjanin“, „Japoneczki“, „Tom Dawis, skaut amerykański“ (Aleksander Janowski). Dalej: królewna rumuńska Helena, prezeska kół młodzieży Czerwonego Krzyża. I jeszcze: Lato warszawskich dzieci (Krzepkowski). Wszak te dzieci, które na lato wyjeżdżają, lub które się wśród pól i lasów urodziły, wiedzą o małych, smutnych mieszcuchach niewiele więcej, niż o dzieciach chińskich lub królewskich.

A więc najszerszej pojęte braterstwo. Małe dziecko, czytające „Płomyk“ gdzieś na Podhalu, czy Śląsku, na Kaszubach, czy na Pokuciu, czuje się nagle bliższym całemu dziecinnemu światu.

Listy zaś „Płomyka“ pomagają dziecku nawiązać kontakt z szerokim światem. Ciekawe są te listy. Są to listy do małego obywatela i towarzysza, pełne wzajemnej ufności i sympatii. Przegląd adresów mówi więcej, niżby można wyrazić rozprawką. Ileż nazw wiosek, wioseczek, zapadłych kątów, i jakże zewsząd odzywają się te głosiki dziecięce, zupełnie jak w obudzonem na wiosnę wielkim ogrodzie. Centra kultury: Warszawa, Lwów, Kraków, bynajmniej nie powtarzają się w adresach najczęściej. Miejscowości na kresach, miasteczka prowincjonalne, całe oddziały szkół, oddalonych o setki mil, wszystko to daje znać, że żyje, że

interesuje się „Płomykiem“ i potrzebuje go. Ba, znajdujemy nawet odpowiedzi na listy dzieci Polskich mieszkających we Francji i Ameryce.

A teraz przyjrzyjmy się, co „Płomyk“ tej dwuzdziesiątej tysięcznej rzeszy, rozsianej po Polsce, ofiarowuje:

A więc, jakżeśmy wspomnieli, żywi i roznieca płomień miłości do Boga, Ojczyzny i człowieka. Czyni to umiejętnie i pięknie. Nie sądźmy, że to łatwa sprawa. Wielkie uczucia kultywować, brzękiem pięknych słów ich nie zagłuszać, na miejsce wiary i czynu nie podsuwać uczuciowego frazesu i gestu — nie mało na to trzeba oględności i taktu. Niedarmo nad jednym pokoleniem płacze Wyspiański w Kazimierzu Wielkim, niedarmo, idącym za trumną króla, co był samym czynem, przygląda się z rozpaczą, widząc pustkę serc, rozmiłowanych w uroczystościach, paradach, lamentach i słowach. Rzetelności uczuć nie gruntuje cikliwy wiersz, ani morał.

Przyjrzyjmy się poczynaniom „Płomyka. Dzieci dostają kilka reprodukcji. Siewna—Stachiewiczza, Matka Boska Sykstyńska — Rafaela, Matka Boska z Dzieciątkiem—Boticellego, Ostatnia Wieczera—da Vinciego, Święty Jan. Do tego wiersze: „Siewna“—Chełmońskiej (bardzo muzykalny), i t. p.

Niech piękno mówi samo, niech wielki artysta stanie się pośrednikiem między Bogiem, a dzieckiem.

A jak „Płomyk“ budzi miłość Ojczyzny?

Przedewszystkiem więc miłość ojczyzny duchowej, której nam nie wydarł nieprzyjaciel srogi...

Tę Ojczyznę, tę oddaje na dozoną własność przez obcowanie z wielkimi duchami, przez życiorysy Mamy więc artykuły Szmydtowej, Gąsiorowskiej: o Warneńczyku, o Staszycu, Żeromskim, Reymoncie, mamy artykuł o księdzu Biskupie Cieplaku, mamy cały numer, poświęcony Konopnickiej z racji 15-tej rocznicy jej zgonu, mamy, ozdobiony portretem i reprodukcjami, artykuł o Matejce. Dodajmy opis uroczystości (fotografję) przy pogrzebie zwłok nieznanego żołnierza, a będziemy mieli cały ten snop promieni, szukający zaścianków i wiosek, a tam—serc malutkich polaków.

Drugi punkt w rozwijaniu uczuć patryjotycznych, to króciutkie artykuły krajoznawcze, ozdabiane ślicznymi fotografiami. A więc: O Pokuciu i Huculach (Marja Dąbrowska), o Łowiczu i ziemi Łowickiej, cały numer o morzu, cały numer o Śląsku i górnictwie i t. d. Oto masz swoją Ojczyznę w opowieściach obrazkach, daleką i bliską, znaną i nieznaną. Musisz powiększyć ramkę w sercu, mały czytelniku, jeśli ją chcesz zmieścić.

Jednym z najważniejszych zadań wychowawczych Płomyka jest wyrabianie uczuć humanitarnych i obywatelskich. W tym dziale mamy artykuły i odezwy: „Liga Niezapominajki“, „O Kołach młodzieży Czerwonego Krzyża“, „Dzieci polskie wybudują szkołę na wybrzeżu morza polskiego“. List redaktorki w pierwszym numerze „Płomyka“, wzywający do najszlachetniej pojętego koleżeństwa i braterstwa w klasie. — Wreszcie cała akcja pomocy dla Sierocińca „Nasza Chata“, na który dzieci przysyłają składki i podarki, i o którego losie są informowane.

„Płomyk“ w roku 1925—6 ofiarował dzieciom 16 dobrych reprodukcji na ładnym papierze takich mistrzów jak: Murillo, Boticelli, Rafael, Malczewski, Wyspiański, Andriolli, Grotgger, Chełmoński, Brandt—Reprodukcje były dobierane i opatrzone dłuższymi komentarzami, pomagającymi dziecku patrzeć i widzieć

(M. Kociatkiewiczówna). Dzieci przepadały za temi obrazkami i oczekiwały ich. Tak więc i rozwijania poczucia piękna nie zaniedbała redakcja: Zachęca dzieci do uczęszczania na dziecinne audycje muzyczne, do zwiedzenia Muzeum Narodowego, któremu poświęca duży ilustrowany artykuł. Specjalną opieką otaczając zdobnictwo, podaje projekty ornamentów, ogłaszając konkurs na najładniejszy haft dla dziewczynek, a motyw zdobniczy na teczkę dla chłopców.

Osobny dział, roznamiętniający czytelników, stanowią rozprawki o nowoczesnych zdobyczach wiedzy i techniki. A więc: budowa jednopłatowca, kino, radio, nowoczesne cewki i t. p.

Ciekawe jest, że pisma francuskie w tym dziale są najbogaciej opracowane. Najwięcej miejsca poświęcają wynalazkom, podróżom i sportom. Pisemko dla młodzieży „L'âge heureux“ (Paryż) pełne jest fotografii rekordzistów, lotników, żeglarzy, łodzi podwodnych, tanków etc. Można by powiedzieć, że francuzi narkotyzują swoje dzieci cywilizacją i współzawodnictwem. Sport, wynalazek i humor — oto, czem przeważnie częstują. Nie negując wpływu sportów i współzawodnictwa na charakter, musimy uznać, że praca „Płomyka“ ma inny, indywidualny kierunek. Zanim oszłomi dziecko potęgą i ruchem nowoczesnego życia, stara się właśnie o tę supremację ducha, o czystość charakteru, miłość bliźniego i wyrobienie zmysłu estetycznego. Za wyjątkiem ślicznych fotografii okładowych L'âge heureux, francuzi bardzo po macoszemu traktują szatę zewnętrzną swych pisemek, treść swych żarcików i powiastek.

„Płomyk“ jest nie tylko poważnym czasopismem, „Płomyk“ jest także aktualną gazetką. Krótko zredagowane, ciekawe wiadomości są ulubioną lekturą dzie-

cięcą. Oto pewna znaczone jaskółka przeleciała 11 tysięcy kilometrów; statek „Maud“ Amundzena przebył 7 lat w krainie wielkich lodów, a człowiek przespia tyle, a tyle czasu... i t. p.

Łamigłównki, zagadki, konkursy, projekty robót ręcznych (bardzo ładne), komedyjki, oraz bogaty dział beletrystyczny zamykają całokształt materiału, który pismo młodzieży i dzieciom ofiaruje. Do „Płomyka“ dołączony jest „Płomyczek“, przeznaczony dla małych dzieci, pełen wdzięku, humoru, ilustrowany przez najlepszych polskich ilustratorów.

Recenzja literacka utworów beletrystycznych zajęła by zbyt dużo miejsca, wystarczy więc wymienić, że takie pióra, jak: Janowski, Sieroszewski, Dąbrowska, Szmydtowa, — takie ołówki, jak Mackiewicz, Bartłomiejczyk, składają się na całość o wysokim poziomie artystycznym i naukowym. Wiersze Porazińskiej, to małe arcydzieła wdzięku i humoru. Inne wierszyki — słabsze. Powiastki niektóre doskonałe.

Wychowanie dziecka do życia współczesnego może się stać koszmarem, a już bezwarunkowo jest ciężkiem, odpowiedzialnym i skomplikowanym zadaniem. Z najtroskliwszą i czujną pomocą przychodzi szkole i matce „Płomyk“ i „Płomyczek“. Na pierwsze prośby maleństw o bajeczkę lub wierszyk, na ciekawe pytanie 15-stoletniego umysłu o radio, o aeroplan, o świat daleki, prosi dla dzieci o odpowiedź ludzi poważnych, rzetelnych artystów i pedagogów. Nie żałuje trudu dla dziecka, dlatego, że małe, bezkrytyczne i byle czem się zaspokoją. Idąc ręką w rękę ze szkołą, z domem rodzinnym, buduje to, czego „nie wydrze nieprzyjaciel srogi, nie spali ogień, nie zabierze woda“ a co wszelkiej złej przygodzie wyjdzie kiedyś na przeciw.

Stefanja Szuchowa.

UPIORZYCA



a mogiłę moją pada śnieg. Słyszę cichy szmer kryształowych gwiazdek... lecą powietrzem... jedna za drugą, padają z lekkim brzękiem lodowych igiełek... obudziła mnie ta muzyka... z głębokiego, śmiertelnego snu mnie zbudziła.

Złe mi!

Tęsknota!...

Ryngraf z Matką Boską mam na łonie... Chińczyk, który mnie katował, ułakł się talizmanu i został... Ryngraf poświęcony broni mnie od złych mocy, co tu zagładają straszniemi twarzami.

Coraz ciszej pada śnieg. Z dobrocią, z kochaniem otula moją mogiłę, jak matka... niegdyś... do snu... otulała małą dziewczynkę... Snul głębokiego, cichego snu!

Nie mogę!

Zbudziła się tęsknota... Widzę, jak padają białe, koronkowe gwiazdeczki śniegu... przez przestwór siny z daleka... z daleka lecą ku mnie...

Kochane!

Złe mi!

Związana jestem z tem ciałem, umęczonem, skatowanym...

Ciało wiązać mnie będzie jeszcze długo, długo... aż..

Umarłam przedwcześnie — A teraz — tęsknota!

Sen mój jest dobry, słodki, ciche spoczywanie... w błękitach snu czekam wielkiej przemiany.

Ale mnie zbudzono!

Zbudziło mnie czyjeś wołanie.

Wyleceł...

Jest w tym wieczorze białym, śnieżnym, moc dobra, jest łaska... co pozwoli.

Od ciała mego się odwiążę...

Tylko nic...

Już!

Lecę!

Z obcego kraju, kraju męki i śmierci... do mojej ojczyzny... do moich! do moich!

Lecę.

Mam skrzydła!

Wykształtowała je tęsknota.

Lot jest, jak sen...

I sen jest lotem...

Już! już...

Mój stary dwór!

Ojczyzna mego dzieciństwa!

Pod śniegami miodem pachną lipy.

Woń młodych lat...

Woń początków życia!

Życie ty mojej!

Siło ty mojej!

O moja tęsknoto!

Zaszumiały drzewa...

Poznały mnie! poznały — Śpiewaki stare! Bajarzy moich muzyki mego dzieciństwa!

Grają... dźwięk, wtedy przeczuwany tylko... teraz słyszę...

Hymn wieczności!
Kwiateczki, pod śniegiem, moje rodzone!
Pochylę się nad niemi, wionę ciepłem ducha...
i... taje śnieg... kwiatek się mgławym obłoczkiem
wychyla z tajemnych osłonek bytu...

Malarze moje barwiste!
Słoneczniki wy, gadające mową złota, purpury,
fioletu, zieleni...

Wyście mi były wtedy smukłe niebios królewicze...
Ożyły! na chwilę ożyły z zimowego snu! Na krótką
chwilę, jak ja...

Woda!
Woda strumienia!
Siostrzyczka szklana! perlista, lustrzana, chłodna!
Spi!?

I ona, jak ja, śpi snem śmierci swojej...
I ona zbudzi się na szumne, mocne życie, jak
ja... kiedyś...

Ziemia!
Ziemia pół ornych, czarna i krwawa! białością
śniegów strojna...

Moja Ziemia!
Macierz stara!
Uczyłaś mnie, uczyłaś, jak... umrzeć... za ciebie!
Bądź pozdrowiona!

Lecę!
Lecę, gdzie druga matka moja, ta, co mnie urodziła
i małą kochała...

Matusi!
Gołąbko siwa!
Spłakane oczy... skrwawione serce...

Wieczrę wigilijną nakrywa na dwoje, a serce
w jej piersi tłucze się niespokojne, skowronczane,
proste jej serce... czy nie otworzą się drzwi, czy nie
wpadnę, z krzykiem powitania, czy nie rzucę się jej
na piersi?...

Ona nie wie...
Dobrzy ludzie jej nie powiedzieli prawdy. Wy-
wiadowczynie nie prędko wracają — tak jej rzekli —
mają przeszkody, trudności, dalekie drogi do przeby-
cia... więc wypatruje oczy na te drogi dalekie... a córka
nie wraca... nie wróci już nigdy.

Braciszek mały, co przez szybę gwiazdki Betle-
emskiej szukał na niebie, dojrzał mnie...

— Mamo, widziałem Marylkę — mówi.
— Gdzie widziałeś, syneczku, na obrazku? prawda?
— Nie... tam za... szybą...

Twarz matki bladnie białością śmierci...
Braciszku, Jędrusiu! nie mów jej, żeś mnie wi-
dział przejrzytą, z białymi skrzydłami ducha,
Niech nie wie!

Niech nadzieja, jak pajęczyna jesienna, czepia
się wciąż jej siwych włosów, coraz niklejsza, zwiew-
niejsza coraz...

— Co ci się zdaje, synku?!
Jakżeż wyglądała?
Dziecko już milczy...
Matusi! Matusi!
Twarz zakrywasz rękami...
Wybuchasz płaczem rozpaczy...
Czemuż przyszłam?...
O tęsknoto!
Widzialnie nie ukorzę jej się do nóg...

Siwego włosa nie upieszczę!
Czemuż przyszłam?...
Matusi! Matusi! Bądź zdrowa!
Słysz!
Usłyszała w duchu... i płacze...
Lecę...
Czyjaś mnie woła tęsknota... nie wiem, czyja?...
Ach to ty!
Imię twoje... niekochany!
Ach to ty!
Tyś mnie obudził ze snu mogiły!
Tyś mnie straszny twoim płaczem obudził.
Ty wiesz wszystko!
Tyś był obcy. Nikt twego nie oszczędzał bólu...
i ty wiesz, że schwycona kurjerka zginęła najokrut-
niejszą ze śmierci... ty codziennie przeżywasz jej mękę
i jej długie, samotne konanie na pustym, spieczonym
stepie... za obcem ceglanem miastem... ty wiesz, jak
ze stepu przyleciały sępy... ty wiesz wszystko...
Czemuś mi nie dał spać w ciszy?!...
Twoja mnie wywołała tęsknota!
Twoje mnie wywołało pragnienie!
Stoję przy tobie...
Spojrzałeś, wyciągnąłeś ręce... tyś mnie ujrzał,
żywymi oczami ciała mnie ujrzałeś... Bólem twoim
sięgnąłeś za tajemniczą zaslonę śmierci... i padłeś
na ziemię.

Dusza twoja wrywa się z ciała...
Chce iść za mną...
Zostań! Tyś mnie kochał, niekochany...
Zostań!
Czemuż, czemuż wywołałeś mnie z przezroczych
szkiełek tajemnicy?...
Czemu zbudziłeś we mnie wołę lotu?
Cudnego snu życia nie wrócisz... aż...
Zostań!
Lecę!
Gdzie chłopiec mój?! Gdzie miłość moja? od
śmierci mocniejsza?! stanę przy nim, jasna błyskawica,
cieniem mu się na piersi położę, niewidzialną dłonią
oczy płonące ukoję!...

Och, tęsknoto!
Piękny, chmurny, ty smętny, ty mój!
Czy ci żal?
Czy ty czasem śnisz?
Przychodzę po jałmużnę łzy...
Ty bogaty!
Siostrzyczka moja...
Mnie siostra..., dla ciebie to już żona.
Złotowłosa!
Czy piękniejsza od smagłej, drobnej, szalonej
Iskierki?...

Złoto jej warkoczy położyłeś między sobą, a szcze-
liną wspomnień, którą się patrzy w kraj śmierci...
Dziecinka twoja!
Syneczek!
Mógł być mój...
Zapatrzył się w światło choinki, duszyczkę wy-
słał na zwiady... pokazuje paluszkami... on widzi...
A ty, nie widzisz jedyny!
Dłoń ci lekka, dłoń ducha na włosy jedwabiste
kłada...

Pomyśl!
Przypomnij!
Odpędziłeś tę myśl, jak złośliwego komara z nad-
posępnych bagnisk życia.

Czemu włosy twoje już nie tak gęste, jak dawniej?
Tak kochałam twoje włosy!
Czemu usta twoje już nie takie czerwone?...
Czyś ty karmin ich dał zcałować cudzym zimnym wargom?...
Czemu oczy twoje już nie tak płomienne?
Tak kochałam twoje oczy!
Czyś ty cierpiał?...
Ale już minęło, przeszło...
Prawda?
Wymazałeś z pamięci wspomnienie szalonej dziewczyny, co na jedną szalę położyła szczęście twoje i swoje, i życie własne, a na drugą... żądzę poświęcenia i czynu dla Ojczyzny i wiarę w obowiązek i... wolę swoją... Szalona!
Przeważyla druga szala... I poszła!
Poszła, choć prosiłeś, klękałeś u jej nóg, całowałeś stopy...
Oczy twoje stają się szkliste... między brwiami głęboka zmarszczka...
Dziecinka zarzuciła ci ręce na szyję...

Złotowłosa przypadła ci do kolan...
Tak cię bronią!
Przed klątwą złych wspomnień!
Tak cię bronią przedemną!...
Czemuż przyszedłam?!
O Tęsknoto!
Po cóż przyszedłam?!
Między tobą a mną — linja matematyczna! próg śmierci!
Martwego serca nie ogrzeję przy twojem sercu..
Snu!
Błękitnego snu w cichej mogile, na obcym, pustym stepie!
Sen jest piękny!
Ciche odpoczywanie!
Długi sen umarłych!
Lecę...
Migają gwiazdy...
Daleko, daleko... w przestworach ducha... obłok świetlisty... skraj białej Chrystusowej szaty!...

H. Ceyssingerówna.

KONFERENCJA

Z CYKLU „CZEKANIE“



gdzież małżonek? Czy prędko wróci? — Drobna, nerwowa, wrażliwa Stefanja w nowej swej roli rzuca to pytanie swobodnie i lekko. A potem miesza łyżeczką w herbacie, czeka, co z tego będzie, i myśli: „jaka ja jestem podła“. I znowu uprzytamnia sobie wszystko, jak jest, od początku, i znowu zalewa ją fala szczęścia. Bo oto, pomyśleć tylko: nie była nigdy żadną uwodzicielką — nic podobnego — Broń Boże! Przecie aż dotąd pędziła żywot skromny i pracowity wypełniony aż po brzegi różnemi zajęciami. Zajęcia te zaś miały na celu raczej dobro innych, niż własne: żywot uspołecznionej nauczycielki, zewnętrznie gwarny, a samotny wewnętrznie.

Miała pokój „przy rodzinie“, „chodziła na obiady“, śniadania i kolacje robiła sobie sama. Mężczyźni tak mało miejsca zajmowali w jej życiu! Nie to, żeby nie chciała, ale tak jakoś się składało: Poprostu nie było tych mężczyzn, i koniec!

I jakże się to stało, że nagle, ni z tego ni z owego, spadło na nią to niesłychane, to oszałamiające, niepojęte? Jakże się to stało, że ona, zacna Stefanja, siedzi tu w odwiedzinach u żony „swego Alfreda“, i najbardziej szczerze zadaje takie właśnie pytanie „tej biednej, niczego nie domyślającej się, kobiecie“.

— Podła jestem! Jakżeż ja mogę? I czy to naprawdę ja? — Rozmyśla, przeniknięta do cna nową falą szczęścia i słodkimi wyrzutami sumienia. I, żeby było jeszcze cudowniej i jeszcze okropniej, dodaje:

— Spóźnia się dziś na kolację.

Spokojna, pogodna i tęga pani domu nie odrazu odpowiada. Nalewa właśnie herbatę, bacząc pilnie, żeby wrzątek spływał po łyżeczce. Bo powiedział ktoś, że wtedy szklanki nie pękają. A ze szklankami to jest tak: kupuje się odrazu pół tuzina, a wkrótce okazuje się, że już jest ich tylko dwie.

Dopiero po dłuższej chwili, stawiając przed zderwowanym i szczęśliwym gościem szklankę barwy mahoni, odpowiada:

— On się zawsze spóźnia. Dawniej niepokoiłam się, czekałam z herbatą — teraz już nie. Zresztą dziś przyjdzie bardzo późno. Jest na konferencji budżetowej. takiej samej jak we czwartek. Wtedy wrócił o pierwszej,

Takiej samej, co we czwartek? Och, już chyba nie takiej samej! Już to ona, Stefanja, wie najlepiej, że nie takiej samej! (Boże, co za sytuacja, co za sytuacja — i do czego Życie może człowieka doprowadzić! Przecież we czwartek ona to właśnie była tą konferencją — oboje nawet śmieli się z tego, aż robiła mu wyrzuty zawstydzone i szczęśliwe.

— Nie, nie, Alfredzie, nie powinniśmy śmiać się z tego!

Znowu zalewa ją war wspomnień. Aż budzi ją z nich spokojny, ufny głos pani domu, która mówi dalej powoli, z namysłem:

— W sobotę, w poniedziałek znowu te konferencje budżetowe. I w zeszłym miesiącu prawie codziennie wracał o pierwszej, o drugiej, zmęczony, wyczerpany. Nawet kolacji nie chciał, biedak...

Panna Stefanja przełyka gładko „biedaka“, bo oto coś innego wypełza ku niej z kąta: robi w myśl szybki przegląd ubiegłego miesiąca: codziennie wracał o pierwszej — a tak mało tych wieczorów spędził z nią? Więc gdzież laził, na miłość boską? Co znaczą te konferencje? Co znaczy dzisiejszy wieczór? Sobota, poniedziałek? Przecież na te dni wcale się nie umawiali? Poczula tak niezawodne pierwsze ułknięcie udreki niepokoju. Ach, niedać się, niedać, rozmawiać dalej! Wszystko jest dobrze, cudownie! Wszystko jest tak, jak dawniej!

— Dokąd państwo wybierają się na lato?

— Nie wiem jeszcze. Chciałabym, żeby Alfred porządnie gdzieś odpoczął. Zjadają go te ciągle konferencje, sesje, cała ta polityka...

— Pozwoli pani jeszcze herbaty, panno Stefanjo?

Ach, to nie prawda, że wszystko jest, jak dawniej! Poruszyło się coś pod sercem, zemdlilo, potem przycichło i jakby znikło. Ale nie znikło — siedzi przytalone. Jak malutki kłębuszek, uwity z niepokoju i po-

czucia zagrożonego szczęścia. Skręcony, przyczajony, ale o każdej chwili gotów, żeby się rozwijać, rozsnuwać, zasnąć cały świat niemi udreki. Czuje się go pod sercem tak niezawodnie... Jak dokuczliwe, kłujące szpilki, wylażą skądś jakieś drobiazgi, zaobserwowane i przemilczane, jakieś wątpliwości, skojarzenia... niby nic, a przecież...

— Może jednak przyjdzie zaraz, bo to już późno — upiera się, zapomniawszy o wszelkiej ostrożności, jakby się broniła przed czemś nowem i złem.

Zona Alfreda zwraca ku niej jasnowiąsa, ciężką głowę o spokojnym prawidłowym profilu. Niebieskie trochę jakby senne, spokojne, ufne oczy spoglądają z odcieniem zdziwienia.

— Nie sądzę. Można obrać pani jabłko, panno Stefanjo? Tak pani jakoś blado wygląda...

Ale zdenerwowany gość już się opanował i wziął w ręce. Popłynęła znowu rozmowa o książkach, polityce, szkołach, kobietach i mężczyznach. Zrobiło się późno. Stróż zgasił lampę na schodach; noc szła.

Ale nie było, jak dawniej. Poznawało się to po tęsknocie do stanu rzeczy z przed kilku godzin.

— Boże, jaka ja byłam szczęśliwa, zanim się to stało! — Myśli Stefanja. Nie myśli — raczej czuje całą sobą — i zaraz dodaje, jakby z obowiązku, niechętnie, bez przekonania: — przecież nic się nie stało. Ogarnia ją straszne zmęczenie.

— Muszę już uciekać — strasznie późno — szepce i nagle nieruchomieje, zamieniona w słuch: skrzypnęły schody, ale to nie on.

— Mój Boże, jaka pani nerwowa panno Stefanjo! łagodnie i dobrotliwie uśmiecha się pani domu. Jeszcze obiorę pani jabłuszko? To czerwone, dobrze?

Stefanja patrzy, jak z pod jej sprawnych palców wypływa okrawana skórka, spiralnie skręcona, jak wąż. Gryzie jabłko, które jakby rośło w ustach, przelyka z trudnością, bo wydaje się jej, że to już ostatni pre-

tekst do opóźnienia swego wyjścia. Już jest naprawdę bardzo późno — jakże długi był ten wieczór, w ciągu którego tak się wszystko jakoś przekreśliło; jakby na drugą stronę. Bo niema już mowy o szczęśliwych i słodkich wyrzutach sumienia. Niewiadomo, czy wogóle jest sobie co wyrzucać. Ach, oby było! Obyz tylko było! Bo jeśli nie, to jakże będzie teraz żyła?

Omdlewając z męki czekania, z zazdrością patrzy na spokojną i ufną żonę Alfreda, na tę „biedną kobietę“ z przed trzech godzin. To to ona ma być tą biedną? Przecież nic nie wie, i nic nie podejrzewa, więc wcale się nie męczy. Ot, i teraz wcale nie nasłuchuje, tylko czeka całkiem spokojnie. A przede wszystkim ona tu zostanie, i zobaczy Alfreda, ta prawdziwa żona, a Stefanja musi iść w ciemną noc do swego „pokoju przy rodzinie“ i niczego się nie dowie...

Ogarnia ją nieprzeparta chęć zwierzenia się, poskarżenia się tej zdrowej, silnej kobiecie, że już po prostu nie może wytrzymać. Przecież możeby razem łatwiej zbadały, jak sprawy stoją? Przecież teraz te konferencje, to ich wspólny wróg...

Przytula do jej ramienia rozpaloną, drobną twarz; taki spokój nerwowy idzie od niej.

— Naprawdę muszę już iść — pani Marjo — choć tak mi się niechce wracać do tego pustego pokoju — szepce zupełnie szczerze, do cna już udreńczona — i pani pewnie chce się już położyć...

— Niechże pani jeszcze posiedzi. Ja jeszcze wcale nie myślę o spaniu, i takbym się nie położyła, tylko-bym czekała na Alfreda. Już teraz pewnie zaraz wróci, i odprowadzimy panią. Ja się bardzo chętnie przejdę...

Z tych słów płynie ukojenie i pociecha. Poczują do siebie nagłą sympatię; i obejmują się w pół, i przechadzają po pokoju, pełnym światła lampy, nocy, cienia i przyczajonego oczekiwania. Zatrzymują się razem przy czarnem oknie, wpatrują się w ciemność podwórza, nasłuchują, czy stróż nie idzie otwierać bramy. Czekają.

Helena Boguszewska.

T Y C J A N

Trzysta pięćdziesiąta rocznica śmierci jest równie dobrym powodem, jak wszelki inny, do przypomnienia światu tego wielkiego artysty. Do przypomnienia — do wypróbowania jego wartości probierzem dzisiejszych wymagań.

I oto może dziś więcej, niż wczoraj, Tycjan wzbudzi dla siebie podziw, więcej dziś, niż wczoraj, potrafią patrzeć nasze oczy na jego olbrzymią, ze światła i barwy poczętą sztukę.

Męski, dumny, pański i zaborczy, Tycjan raziłby prerafinowaną, subtelną, cierpiętniczą psychikę ludzi schyłkowych. Aczkolwiek daleki od Renesansu, człowiek dzisiejszy krzepki, czerstwy, szukający zdrowia i ekspansji, czyniący po wojnie gwałtowny zwrot do życia i jego radości, zrywający aż zbyt chętnie z wszelką głębią i cierpieniem — znajdzie w tym mistrzu, typem uosobieniu późnego Odrodzenia, pokrewne optymistyczne nastawienie, w sztuce zaś jego wyraz pełny i doskonały dla swego pragnienia ruchu i wyzicia się.

Tycjan wyszedł z gór; urodził się i spędził dzieciństwo w Alpach. Kształcił się i żył w Wenecji. Żył, to jest tworzył. To było u niego jednym.

Może z powietrza górskiego wyniósł fenomenalne zdrowie i długowieczność. Do niedawna liczono mu 99 lat. Reinach zmniejszyła ten wiek do osiemdziesięciu kilku*). Tak, czy owak, nie chorował nigdy.

Zmogła go dżuma. Pochowano go z honorami i wbrew przepisom ochronnym wśród miasta, którego był chlubą.

Zwano go księciem malarzy. Był księciem życia. W przepysznym mieście patrycjuszów wiodło mu się, jak wybrańcowi losu. Bogaty, — zasypywany obstalunkami najwyższych dostojników ówczesnego kulturalnego świata, mieszkał wśród wspianego ogrodu w wytwornej willi. Uprzejmy, gościnny, prawdziwy magnat, podejmował weneccjan i książąt świata. Tu mu pozował Karol V, tu odwiedzał go papież Paweł III, tu niemal codziennym gościem bywał przyjaciel, okrutny ironista, autor paszkwilów i satyr, Pietro Aretino. Tu wzrastali dwaj synowie i córka, Lavinia, z której wykonywał nieraz studja do swych rozkwitłych, jak dojrzałe owoce, soczystych i jędrnych ciał kobiecych.

*) Data urodzenia według Reinacha 1490 r.

Tycjan szedł przez świat krokiem triumfatora. Z siebie dał niezmierną, spokojną pracowitość i świadomość celu, dał umiar i wielką wolę. Te właściwości poprowadziły go linią prostą, bez przerw, zygzaków i odchyłeń, bez wahań, nawrotów i niepewności do całkowitego wypowiedzenia siebie przez sztukę.

Twórczość Tycjana zrodziła się z bezpośredniej eksterjoryzacji jego temperamentu i zmysłów. Nie odczuwa się w niej krępującej i hamującej kontroli refleksji, mózgowości, ani ascetycznej tresury wewnętrznej. Dzieła jego grzmiały, jak wagnerowskie fanfary, głoszące sławę bogów Walhalli.

Kolor, bogaty tęczywaniami nieba i morza, powiew, kinetyczność, jakby się dziś powiedziało, — ruch i życie, bijące, jak źródła energii z jego obrazów, — świetlistość, światło i mrok — czynią tego arcy-mistrza szkoły weneckiej praojcem sztuki współczesnej. Od Tycjana, przez Velasqueza, Goyę, impresjonistów francuskich dochodzimy do wartości, trwale jeszcze czynnych w malarstwie dzisiejszym.

Obojętny na zagadnienia transcendentalne i filozoficzne, nie sięgający, jak Leonardo, poza zmysłową poznawalność, niezaniepokojony stosunkiem człowieka do bytu, wolny od żądzę wszechpoznania — Tycjan był pogodny i używający. Skupił się cały na malarstwie, i przez nie unieśmiertelnił. Oddał się cały życiu, które namiętnie kochał.

Kochał je tak i cieszył się nim, jak może cieszyć się człowiek epoki spokoju, zrodzonej z burz, i wśród konfliktów, przeszłych i przyszłych, stanowiącej wyspę szczęśliwości. Tycjan urodził się na przełomie dwóch epok — w czasach, kiedy, jak mówi przestarzały, lecz zawsze mądry Taine, pomiędzy uciążliwym dziełem wojny, lub pracy, a odpoczynkiem i osiadłością zjawia się chwila jedyna: narodzin nowej sztuki „w której ludzie, jeszcze silni i popędliwi, zdolni do wzruszeń wzniosłych i inicjatywy śmiałej, dają folę swej woli natężonej“.

Leonardo radził „uniknąć burz“, lecz sam był pogrążony w oceanie zagadnień. Sztuka jego, oszczędna i wypracowana, była kwintesencją ducha, cudownym jego zmaterializowaniem. Tycjan nie znał burz i tworząc w niezamąconej jasności słońca, bez pośpiechu i bez męki, lecz nieprzerwanie, wydał wielką ilość dzieł, w których, bez względu na treść, wyrażał swój poganizm, swą dojrzałą radość życia i pełnię wewnętrzną.

Zarówno w „Złożeniu do grobu Chrystusa“, jak w potężnym, pełnym plastyki „Zwiastowaniu“, czy w „Marji Magdalenie“, czy też w „Pochodzie Bachusa“ — wszędzie panuje duch helleński, umiłowanie formy, siły i rozkołysanego, rozfalowanego, rodzącego życie i ruch światła.

Tycjan był wyłącznie artystą. Im starszy, tem bardziej zdobywczy, tem śmielszy, tem więcej malarz, dla którego tworzywem jest przedewszystkiem plama barwna.

Nie starzał się, lecz jak człowiek, posiadający dar bogów, sięgał w rozwoju swoim do coraz nowych tajemnic sztuki.

Był świetnym egoistą, którego wysoka kultura i wykwińt czyniły miłym ludziom. Jego potężne łokcie nie rozgniatyły innych; torowały mu jeno drogę, i tak już łatwą.

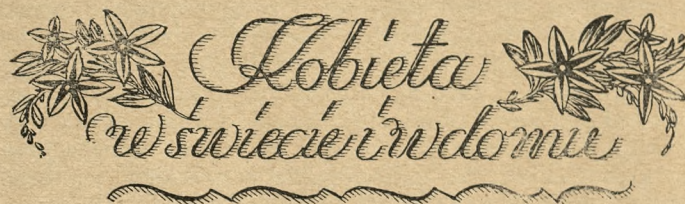
Wątlność, nieokreśloność, pełna niedopowiedzeń i niewiadomych wyników wczesna młodość rzadko zatrzymywały jego oko; lubował się natomiast w zdrowiu, w twierdzącej dojrzałości, w bogactwach późnego lata i w plonach gorącej jesieni. Malował owoce soczyste, kwiaty jesienne, kobiety o złotem, rozkwit-

łem ciele, wspaniałe, lśniące materje, — przepych, hojność i obfitość świata.

Nawet liczne i świetne portrety, jakie wykonał, noszą piętno jego woli, czyniącej rzeczywistość wielką, pańską i zdobywczą. Chuderlawy, nikły mizerak, Karol V, w portrecie Tycjana wygląda na dostojnego, pełnego godności i skupienia pana; przykry i lichawy Aretino, w przepysznym lśniącym płaszczu wyszedł z pod pendzla przyjaciela, jako wielki dygnitarz i mędrzec.

W „widzeniu“ Tycjana było coś olimpijskiego, przekształcającego małość, wulgarność i lichotę na grandezę i szlachetną pańskość.

N. Samotyhowa.



„GWIAZDKA U ICH KRÓLEWSKICH MOŚCI“

Jeśli chcecie, kochane czytelniczki, spędzimy razem jeden z tych dni świątecznych w gościnie, i to nie byle jakiej, bo w gościnie u „Ich Królewskich Mości“. Spieszę jednak odrazu wyjaśnić, dla uniknięcia wszelkich nieporozumień, że nie chodzi tu o żaden dwór królewski z dawno minionej, świetnej przeszłości, ani o królów z bajki, lecz poprostu o dzisiejszy, dostępny nietylko dla „Wysoko urodzonych“, ale i dla zwykłych śmiertelników, dwór króla Wielkiej Brytanji.

Mieszkańcy „nieznanej wyspy“ — jak słusznie nazywała Anglję Pierre Coulevain — umieją przedziwnie łączyć w swem życiu, zarówno publicznem, jak i domowem, głęboki kult dla tradycji i to, co się u nas nazywa konserwatyzmem, z uczuciami szczerze demokratycznymi, opartymi przedewszystkiem na poszanowaniu praw ludzkich każdej jednostki. Z pozoru najbardziej arystokratyczny kraj na świecie, przywiązany fanatycznie do swej przeszłości feudalnej i rodów starożytnych, jest w rzeczywistości Anglja krajem prawdziwie i głęboko demokratycznym, czego dowody spotykamy na każdym kroku.

Jednym z tych dowodów jest obchodzona corocznie uroczystość „gwiazdki u Ich Królewskich Mości“, uroczystość, w której, prócz rodziny królewskiej i zaproszonych gości, bierze także udział cały personel służbowy dworu królewskiego. W dniu tym cała służba królewska, za wyjątkiem kilkunastu osób, niezbędnych do obsłużenia tak licznej gromady zebranych, zwolniona jest całkowicie ze wszystkich zajęć i traktowana zupełnie narówni z innymi gośćmi.

Uroczystość rozpoczyna się o godzinie ósmej wieczorem w olbrzymim hall'u pałacu Sandringhamskiego, wspaniale udekorowanym festonami zieleni tradycyjnego „holly and mistletoe“ (ostrokrzewu i jemioły.) Pośrodku sali olbrzymia choina ugina się pod ciężarem zawieszonych na niej paczek, owiniętych w barwne papiery i wstążki.

Każda taka paczka zaopatrzona jest w numer, odpowiadający liczbie, umieszczonej na karcie zaproszenia. Punktualnie z uderzeniem godziny ósmej otwierają się wielkie drzwi hall'u, i wchodzi wszyscy goście z całą rodziną królewską na czele. Personel służbowy w zwykłych strojach wieczorowych stanowi główną część zaproszonych. Sześciu służących, stojąc



przy choince, dopomaga królowi we własnoręcznym rozdaniu darów gwiazdkowych. Rozdział ten odbywa się, jak następuje: król bierze jedną z paczek, wiszących na drzewku, i odczytuje głośno znajdujący się na niej numer; wówczas osoba, której karta wstępu numer ten nosi, a więc jeden z członków rodziny królewskiej, albo utytułowanych gości, spędzających święta w Sandringhamie, albo też i ktoś z personelu służbowego — podchodzi do drzewka i otrzymuje paczkę z rąk króla. Znajduje się w niej zawsze jakaś cenna pamiątka. Przy rozdawaniu tych darów nie bywa obserwowany żaden ceremoniał, nikt nie składa ukłonów, wszyscy zachowują się zupełnie swobodnie i naturalnie.

Gdy wszystkie paczki już rozdane, król z rodziną udają się do sali jadalnej, i rozpoczyna się obiad gwiazdkowy. W przyległej wielkiej sali recepcyjnej przy olbrzymich stołach, prześlicznie udekorowanych kwiatami, zasiada służba do tradycyjnego „roast turkey and plum pudding”. Obiad wystawny obfituje we wszelkiego rodzaju najlepsze wina z piwnic królewskich. Na zakończenie uczestnicy wznoszą toasty i śpiewają kolendy, staroświeckie „Christmas Carols”.

Tak rozpoczynają się święta w pałacu Sandringhamskim. Kończą się zaś uroczystym balem, wydanym w dzień Trzech Króli również dla personelu służbowego. Bal ten odbywa się albo we wspaniałej sali pałacu królewskiego w Buckingham, lub też w tej samej sali balowej w Sandringham. I w tej uroczystości również bierze udział cała bez wyjątku służba w charakterze gości.

Zabawę rozpoczyna król, prosząc do tańca ochmistrzynię dworu, za nim w drugiej parze królowa tańczy z najstarszym kamerdynerem. Księżę Walji i młodsi królewicze, wraz z księżniczkami Yorku, zapraszają do tańca po kolei różne osoby z personelu służbowego, starając się nie pominąć nikogo. Nastrój panuje zupełnie swobodny i niewymuszony, wszyscy bawią się świetnie, a księżę Walji miał, podobno, kiedyś oświadczyć, że bal na Trzy Króle, jest to jedyna zabawa dworska, na której się nigdy nie nudził!

Dla ścisłości dodać należy, że ów wesoły i pogodny nastrój na zabawach t. zw. „rodzinnych” wniósł dopiero matka dzisiejszego króla angielskiego, umiłowana przez wszystkich królowa Aleksandra. Za panowania królowej Wiktorji w obchodzie gwiazdki brał również udział personel służbowy, przyjęcia jednak odbywały się z zachowaniem sztywnego ceremonjału dworskiego i w grobowym milczeniu. Dopiero gdy po długim panowaniu królowej Wiktorji wstąpił na tron Edward VII, jasnowłosa królowa duńska zniosła ponury i nudny ceremoniał dworski, i w pałacu królewskim zapanowała swoboda, i niewymuszona wesołość. Król Jerzy i królowa Marja nietylko nie nawrócili do dawnego ceremonjału, lecz uczynili go jeszcze bardziej swobodnym — toteż święta w Sandringham Palace obchodzone są tak, jak w całej Anglii: w nastrojach prawdziwie rodzinnych, a do rodziny w te dni zalicza się wszystkich domowników, bez względu na ich stanowisko społeczne.

I jeszcze jeden zwyczaj wprowadziła królowa Aleksandra: poza upominkami, rozdawanymi pod drzewkiem, każdy bez wyjątku członek personelu służby królewskiej otrzymuje na tydzień przed świętami kwit, uprawniający go do zakupu w magazynach „dostawców królewskich rzeczy, która mu może sprawić największą przyjemność. Kobiety wybierają przeważnie coś z ubrania — zakład krawiecki noszący tytuł „dostawcy dworu królewskiego”, wykonywuje też w tym

czasie setki kostjumów, sukien wizytowych i wieczorowych i t. d. Mężczyźni najczęściej wybierają sobie pamiątki bardziej trwałe, np. wyroby srebrne, serwisy porcelanowe i t. d. Po kilkunastu latach pracy na dworze królewskim można więc sobie uzbierać wcale niezłą kolekcję rzeczy pięknych i wartościowych, i są podobno wśród służby królewskiej tacy zbieracze, których zbiorów mógłby pozazdrościć niejeden miłośnik sztuki!

Nie tak uroczyście wprawdzie, jak w pałacu królewskim, i nie tak kosztownie, ale zawsze wesoło i pogodnie obchodzone są święta i w innych domach angielskich. Wszędzie stopy paczek pod choinką świadczą o pamięci państwa domu o rodzinie i domownikach. W dniu gwiazdki każdy, młody czy stary, musi być obdarowanym przez siwobrodęgo „Father Christmas”. A gdy już skończy się rozpakowywanie darów wśród radosnych okrzyków zdumienia i zachwytu, wszyscy grupują się przy tradycyjnym kominku, na którym płonie świąteczny „Yule-log”, i rozpoczyna się serja obowiązkowych opowieści o duchach, opowieści, krew mrozących w żyłach słuchaczy.

Jedną z takich autentycznych opowieści opowiem wam, kochane czytelniczki, w następnym numerze.

Z. B.

„GWIAZDKA“ ANGIELSKA

Zbliżają się najważniejsze w roku i bodaj najweselsze święta na wyspie trzeźwego Albjonu, święta Bożego Narodzenia. Dawniej... kiedy marzyło się zaledwie o podrózach zamorskich i krajach dalekich, — i wchłaniało się z wzrastającym przejęciem opowiadania najbardziej rasowego pisarza angielskiego — Dżickensa, długo, długo w wyobraźni pozostawał plastycznie opisany, „Duch Bożego Narodzenia“ na dalekiej wyspie: — „... Piękny, smukły młodzieniec (w niczem niepodobny do naszego, srebrystowłosego staruszka, św. Mikołaja)... Długie, koloru dojrzałych kasztanów włosy, opadają lokami na szerokie plecy. Na głowie wianek, uwity z liści świętego dębu i czerwonych jagód. Twarz „Ducha“ otwarta, jasna, oczy promieniejące; głos ciepły, łagodny. Sam widok tego pięknego „Ducha“ sieje radość życia i ukojenia dokoła...”

Być może, takim właśnie był niegdyś „Duch Gwiazdki“ angielskiej, nietylko w barwnej opowieści Dickensa.

Dziś, w Londynie, a i w każdym większym mieście państwa Brytyjskiego, na kilka dni przed świętami — można spotkać także uplastycznionego „Ducha Świątecznego”. Wygląda on nieco inaczej.

Przed każdym prawie wielkim magazynem, w powodzi świateł, rzucanych z bogatych witryn sklepowych — snuje się mały, przygarbiony człowieczek... Sunie wolno ociężałymi krokami, od rogu wyznaczonego do latarni, i znowu z powrotem, aby nie robić konkurencji drugiemu, podobnemu „duchowi“, który tak samo w milczeniu, ociężałe, spaceruje o kilkaset kroków dalej, przy drugim luksusowym sklepie.

„Współczesne duchy“ odziane są wszystkie jednakowo, w długie czerwone bałachony, spreparowane z taniego kretonu i oszyte przybrudnym, białym futerkiem królików. Na głowach mają olbrzymie kapiszony, zakrywające prawie zupełnie wymizerowane, pomarszczone, niegolone twarze.

„Duch — człowiek“ — to bezrobotny obywatel Wielkiej Brytanji, godzący się chętnie za 5 — 6 szillingów odgrywać przez 10 godzin rolę „Ducha Świątecznego“ i defilować w powodzi świateł, wśród tłumy rodaków.

Człowiek w czerwonym płaszczu jest najjaskrawszym bodaj przykładem tego „czegoś“ po wojnie, co śmiało może być nazwane „ruiną człowieka“.

* * *

Ciemno, duszno, jakoś niesamowicie.

Gdzie się podziało światło dzienne, niebo, czerwono-liljowe promienie zachodzącego słońca zimowego?

Czy nigdy nie spada tu biały, pulchny, radujący oczy śnieg?

Najbielszy i najpiękniejszy przed „gwiazdką“ Świąteczną? Nie, nigdy.

Właśnie koniec grudnia i początek stycznia na dalekiej tej wyspie odznacza się wyjątkowo, przejmującą do kości wilgocią i bezustanną mglistością.

A w ciemnościach tych, panujących niemal od południa, kotłuje się od mrowia ludzkiego. Ruch, pośpiech, rwetes, pęd dalej — dalej ludzi, motorów, aut, tramwajów. Ze to wszystko na siebie nie wlezie pociemku, nie rozbija się w drzazgi, nie kaleczy,

nie spada — zawdzięczać musi sprężystej organizacji ruchu ulicznego i wszędzie obecnym, stale przytomnym policysem, którzy ustawicznie w ruchu z latarkami elektrycznymi, przymocowanymi do hełmów i świecami przez mgłę londyńską, niby świetliczki po nocy, dzierżą w swych dłoniach owe bezpieczeństwo ulicy: tysiące ludzi, koni, motorów.

A ruch przed świętami wzrasta. Dopływ obywateli z prowincji do miast większych po zakupy świąteczne wymaga się z dnia na dzień.

Na parę dni przed „Gwiazdką” rozpoczyna się istna orgja paczuszek z prezentami, rozsyłanych w eleganckich opakowaniach na wszystkie strony wielkiej Brytanji, za oceany, za morza, na kolonie, rozsiane po całym globie.

Cyfry statystyczne wykazują, że przeszło 3.000.000 wozów ciężarowych obsługuje rok-rocznie ową kampanję upominków przedświątecznych, przewożąc je z poczt na dworce kolejowe, czy przystanie i vice-versa.

Setki tysięcy też funtów szterlingów wydaje się rok-rocznie w Anglii na zakupienie tych „X-mas presents”. Nie mówię tu o solidnych upominkach, zwyczajem każdego kraju, rozdawanych w rodzinie, lecz o tych lilipucich drobiazgach, od tandety do luksusowych cacek, króre każdy, szanujący się anglik, uważa za obowiązek rozesłać do wszystkich przyjaciół i znajomych, przebywających bodaj na drugim końcu świata.

W sząnistych oknach wystawowych, oświetlonych trzęsiciem, przed którymi snują się współczesne „Duchy Świąteczne”, ułożone są artystycznie owe „X-mas presents”, które ządziwią każdego cudzoziemca naiwnością pomysłów i, co więcej, absolutną nieużytecznością tych gracików: jakieś wymyślne karty Świąteczne, lilipucie notesiki, lusterka, grzebyki, portmonetki itd. itd. bez końca.

Produkcję tego barwnego „rupiecica” zajęte są rok-rocznie dziesiątki tysięcy rąk robotniczych... w Japonji. Graciki te trzeba sprzedać po cenie bardzo niskiej (najwyżej 2 — szillingi za sztukę); japońskie ręce robotnicze są o połowę tańsze od angielskich. Opłaca się nawet przewóz.

Na kilka dni przed świętami miliony tych paczuszek przefrunie z miejsca na miejsce, niby roje kolibrów, po całym terytorjum państwa Brytyjskiego.

Kołatka listonosza zastuka do każdego domu angielskiego nie 5 razy dziennie, jak to bywa normalnie, a 8.. conajmniej. — X „mas presents” — rozkładane są pieczołowicie na specjalnie na cel ten przygotowanym stoliku w „sitting-room”, aby po paru dniach, spełniwszy swą rolę, powędrować do... kosza.

Być może, że te upominki świąteczne, wśród ludzi praktycznych i trzeźwych, spełniają rolę naszego białego opłatka, są przecież także symbolem miłości braterskiej i pamięci o bliźnich Choinek i świerków prawie się nie widzi.

Nie „zasadza się” z nich na poczekaniu ślicznych pachnących „gajów”, na każdym wolniejszym placu miejskim, jak to się dzieje u nas. I nie upiększa się nimi witryn sklepowych, radując serca nietylko „szlachty milusińskich”, lecz i starych dzieciaków.

Ow tradycyjny element dekoracyjny świątecznych dni B. N. przechowywany z pietyzmem w każdym kraju słowiańskim, w Anglii zostaje zastąpiony ostrokrzewem i jemiolą, t. zw. „holly” i „mistletoe”

Jemiola w Brytanji, a szczególnie w okolicach Walji, cieszy się niezwykłym uznaniem. Są to pozostałości celtyckiego kultu jemioli, jako „rośliny świętej”, „uzdrawiającej chorych”, gałązki nadziei zakochanych.

Tak było dawniej w zamierzchłej przeszłości.

Dziś jednak, na wielkim świecie wszystkie zwyczaje i prastare tradycje utraciły prawie zupełnie swą moc, rozluźniły się, stały się czemś w rodzaju towarzyskiej zabawy i swawoli.

Tak też jest i z tą jemiolą.

Dekoruje się nią i teraz wnętrza mieszkań: zawiesza się te nikiel kwitnące gałązki w hollu, na gzymsach, pośrodku pułapu, pod żyrandolem, a najbardziej dokoła niezbędnego akcesorium każdego niemal pokoju home'u, dokoła kominka. Ta mała gałązka z białymi jagódkami, zawieszona kędyś u góry, nadaje każdemu mężczyźnie prawo ucałowania (w pierwszym dniu świąt) bezkarnie każdej kobiety, spotkanej sam na sam w pobliżu „świętej rośliny”

Zwyczaj, zaiste, oryginalny, no i zresztą dosyć przyjemny, o ile, oczywiście, coś-niecoś o nim się slyszało zawczasu. Biada zaś, a i wstyd niełada jaki, gdy pocałunkiem tym „Świętym” (dobrze jeżeli tylko jednym!) zostaje zaskoczona, Bogu duchu winna, cudzoziemka, nie mogąc się połapać odrazu, skąd naraz się wzięło sztywnemu i poprawnemu gentleman'owi na tak niespodziany wylew czułości... braterskiej.

* * *

Wieczerzy wigilijnej, w ścisłym znaczeniu tego słowa, anglicy nie urządzają i wogóle nie mają nawet o niej pojęcia. Dzień wigilji jest dniem codziennej pracy, zwyczajnych posiłków i przejęcia się sportami do późnego zmierzchu. Zaś wieczór, długi, wieczór gru-

dniowy spędza się zazwyczaj w teatrze lub kino... Dawane są najlepsze przedstawienia, gdyż później przez dwa dni wszystkie dancingi, i teatry, i kina z powodu świąt będą zamknięte.

Angielska lady nie piecze strucli, ani wieri maku w garnku, ani się troska o wieczere; najwyżej przyrządzi monumentalny „plum-pudding”, innemi słowy budyń śliwkowy, ową niezwykłą mieszaninę suchych owoców, rodzenek, imbiru, mąki i cukru, niezwykłą potrawę, która wymaga kilkunastu godzin pracy, przechowuje się miesiącami, jest koloru chleba razowego i którą potrafi strawić tylko żołądek angielski.

Uczte obrzędową Świąt Bożego Narodzenia stanowi „Christmas Dinner”, obiad na pierwszy dzień świąt, napuszony, oficjalny spożyty późnym wieczorem w gronie przyjaciół z raz na zawsze ustalonym menu: pieczony, pompatyczny i udekorowany indyk rozpocznie uczte, plum-pudding — zakończy ją. Mogą się zmieniać rozmaite kultury, religje, obyczaje, pojęcia o moralności i niemoralności — żołądek człowieka nie interesuje się tem wcale, pozostaje najwięcej konserwatysta i doskonale pamięta o tych wyjątkowych tradycyjnych potrawach, nietylko pamięta lecz i domaga się ich.

Świąteczny obiad według utartego zwyczaju lat ostatnich, przez praktyczność angielskiej lady, oraz chęć oszczędzenia sobie niepotrzebnych wysiłów — odbywa się w olbrzymich pensjonatach lub hotelach, gdzie zbiera się naraz kilkaset osób. Rodziny zasiadają przy osobnych stolikach, udekorowanych kwiatami i owocami, przed każdym nakryciem będzie się znajdować nadprogramowy dodatek (prezent od administracji hotelu) duża „pukawka”.

Przed 8 w. sale zapełniają się damami w strojach wieczorowych i gentlemenami we frakach.

W tym jednym dniu w roku... wolno być, jakim się chce. Anglicy przestają być „dobrze wychowani” — stają się małemi rozdokazywanymi dziećmi, swawolą... Wyglądają przeważnie niepomiernie komicznie.

Na dany przez kogoś tam znak strzelają „pukawki”; ze złoconych tubek tekturowych wyciąga się jaskrawe, kolorowe kapelusze, czapki, osłe czy baranie uszy, głowy kogutów, gęsi, kotów itd. itd. zrobionych z bibułki.

Siwowłose matrony, starcy, piękne panie i młodzież pośpieszą natychmiast ustroić swe pięknie utrefione głowy, w te maskaradowe przykrycia... Uczta się rozpoczyna... trwać będzie jednak co do minuty do godziny 9-ej, gdyż służba hotelowa i personel musi mieć także swój „Christmas Dinner”.

Po obiedzie, zabawa trwać będzie najwyżej do 12. Dancing dla młodzieży, bridge dla pań, bilard, czy jaki inny sport pokojowy dla panów.

Co chwilę wybuchy głośnego śmiechu, strzelanina z dziecinnych pistoletów, niby to nieoczekiwane pocałunki w pobliżu gałązki jemioli, obrzucanie się nawzajem malutkimi pióreczkami z waty, obciążniętymi jedwabiem.

Anglicy się bawią — zdaje się im, że są friwolni, zaczepni, rozbrzykani, w rzeczywistości — są tylko sobą: poprawni, zimni, nieco sztuczni. Na zakończenie zaś tego wieczoru świątecznego miast naszej kolendy — muszą być stanowczo opowiadania świąteczne o duchach, widmach, przywidzeniach, okropnościach.

Straszne bajki, które baje z amatorstwem jakiś przygody, zazwyczaj sędziwego już wieku — gentleman.

„Niesamowite opowieści” — które bezwarunkowo muszą mieć piękny, „przyjemny koniec”, aby niczem nie mącić pogody zebranych tu gości.

Zresztą w Anglii wszystko zawsze musi się kończyć dobrze, musi, tak bowiem życzy sobie każdy normalny, zdrowy syn „Trzeźwego Albjonu”. Dzieciarnia zaś, w tym dniu, miast pod choinką znajdzie dla siebie upominki w olbrzymiej, szarej pończosze, zawieszzonej na łożeczkach i przechodzącej w szanujących się domach angielskich, z pokolenia na pokolenie. Hanna Skarbek.

JAZZ-BAND

Tyle się nad nim nawidziwiano, tyle się przy nim nataneczono, że może nadszedł czas, żeby się dowiedzieć, czym on właściwie jest. Jazz-band jest pewnego rodzaju orkiestrą. Urodzony z ojca Murzyna i matki Amerykanki, zapanował nad całym światem sal tanecznych i kawiarnianych i popularny jest dziś zarówno w Hong-Kong, jak w Bydgoszczy, w San Francisco i Sztokholmie.

Ale nietylko w salach tanecznych panuje dzisiaj Jazz-band: dzięki znakomitym nowoczesnym kompozytorom, zaczyna dawać



o sobie znać i w salach koncertowych poważnych muzycznych instytucyj, dokąd tak niedawno jeszcze nie chciano wpuszczać utworów, będących wobec ekstrawagancji Jazz-bandowych muzyką klasyczną.

Tam, gdzie jeszcze niedawno nie uznawano Mahlera czy Schönberga, gdzie muzyka Ravela wydawała się dziwactwem wręczającą groteskowe rytmy Jazz-bandu i, oburzając starych krytyków, porywają za sobą resztę sali.

Nie sprawiła tego instrumentalna dziwaczność i egzotyczność nowej orkiestry. Same tylko, aczkolwiek nowe, kombinacje barw dźwiękowych nie wystarczyłyby na porwanie za sobą tłumów. To raczej nowy rytm, rytm współczesnego życia, którego Jazz-band jest wyrazicielem, zjednał sobie serca tych wszystkich, którzy żyją dniem dzisiejszym i nie zasklepiają się wyłącznie w odświeżaniu tradycyjnych pamiątek. Każdy, kto bliżej zapozna się z tym szczególnym zespołem, jakim jest Jazz-band, zrozumie łatwo, że nowoczesność i oryginalność jego jest podwójna i że leży ona zarówno w nowym kolorycie, jak i w oryginalnym, dziwacznym rytmie.

Przez niedługi czas swego istnienia (bo Jazz-band istnieje zaledwie kilkanaście lat) przeszedł on ogromną ewolucję. Z początku była to zwyczajna amerykańska hałaśliwa zabawa. Do zwykłego w restauracjach tercetu, czy kwartetu, dodawano szereg instrumentów perkusyjnych, a więc: bębnów, garków, talerzy, dzwonków i t. p. Wkrótce w tym hałaśliwym zespole pojawił się nieodzowny dziś saksofon. Jest to instrument wynalazku francuskiego, pochodzący z lat czterdziestych, zbudowany na zasadzie podobnej do klarnetu.

Nikt nie jest prorokiem w swoim kraju i Saksofon, odrzucony przez Europę, znalazł gościnę w Stanach Zjednoczonych, Melancholijny i ponury dźwięk tego instrumentu przedziwnie nadaje się do smutnych murzyńskich melodij, którym, dla zupełnego już zadziwienia słuchaczy, tanczalny akompaniament dodaje hałaśliwa perkusja. Dwoje skrzypiec, fortepian i wiolonczela stanowią tu tło konieczne, wypełniając harmonję.

Z murzyńskich knajp i obskurnych barów przedmiejskich trochę przy pomocy snobizmu, trochę dzięki własnemu urokowi, Jazz-band przedostał się do coraz lepszych i kulturalniejszych sal. W tej fazie swego istnienia w znacznej mierze utemperował swoją młodzieńczą hałaśliwość i ulepszył ogólne brzmienie. Dziś prawdziwy Jazz-band, oprócz zwyczajnego kawiarnianego kwartetu, do którego dodano jeszcze kontrabas, posiada jeden, lub dwa saksofony, murzyńskie banjo (rodzaj mandoliny, która zamiast drewnianego pudła rezonansowego ma bębnek) mały puzon altowy, lub trąbkę, oraz cały szereg instrumentów perkusyjnych drewnianych, skórzanych i metalowych. Rolę artysty, grającego na tych tłuczonych instrumentach, bardzo dziś ograniczono i uszlachetniono. Z dawnego wrzasku jazz-bandowego nie zostało prawie nic: dzisiejszy jazz-band brzmi daleko dyskretniej, niż naprzykład, mała symfoniczna orkiestra, jakie się często spotyka w wielkich kawiarniach Niemiec lub Austrii.

Jazz-band właściwie przeznaczony był do wykonywania utworów tanecznych, pochodzenia murzyńskiego, które pisane są w szczególnym rytmie przedłużanym, tak zwanym synkopowym. Ale nie tylko te utwory Jazz-band wykonuje. Zwłaszcza w Ameryce (choć nawet i w Wiedniu trochę już o tem słyhać) cała literatura muzyczna stoi otworem dla Jazz-bandu. Przedziwna ta orkiestra wykonuje tam rzeczy bardzo poważne, obok najłżejszych, nadając im jednak wszystkim swój specyficzny synkopowany rytm, a więc zmieniając nie tylko koloryt poszczególnych utworów, ale także ich wewnętrzną rytmiczną budowę. Daleka jestem od chęci usłyszenia Bethovenowskiej „Eroiki“, przez Jazz-band wykonanej. Ale śmiem twierdzić, że inne, mniej monumentalne, utwory na tej zmianie charakteru nie tylko czasem nie tracą, ale zyskują wiele nowych powabów.

Z czasem wszystko, co przesadne, zniknie. Znikną też zapędy amerykańskie do jazz-bandowania wszystkiego. Ktoś znajdzie się napewno, kto potrafi określić możliwości Jazz-bandu i wyznaczyć mu właściwą drogę. W każdym razie Jazz-band wniósł wiele nowego do naszego słuchowego dorobku, wniósł nowy rytm szybkiego i skomplikowanego życia, wniósł nowe kolory dźwiękowe dla spragnionych ciągle nowości ludzi nowoczesnych, a zresztą... podoba się wszystkim, a więc ma ustaloną rację bytu.

Dziwiły się nasze babki dziwaczny i jak mówiły, „ordynarnym“ rytmem walca.

My jeszcze się trochę dziwimy tym synkopowanym rytmem, które niezawsze godzą się z naszym poczuciem muzycznym. Nasze dzieci już się tym rytmem nie dziwią. Podchwytyują je łatwo i uważają za naturalne. Jazz-band dzisiejszy nie jest napewno ostatnim wyrazem „jazz-bandyzmu“, ale przecież taneczna orkiestra Lannera czy Straussa też nie była ostatnim wyrazem techniki i piękna w dziedzinie walca.

Z TEATRÓW

TEATR CWIKLIŃSKIEJ i FERTNERA:

„Mecenas Bolbec i jego mąż“ — komedia w 3 aktach
Verneuil i Berra.

Przyczyną wszystkich nieszczęść i kłopotów państwa Bolbec (opowiedzianych nam tak wesoło i z takim wdziękiem przez panów Verneuil i Berra), są pieniądze. Gdyby nie one, gdyby nie renta, która zapewnia Edmundowi beztrudnie życie bywalca klubów i dancinistów, mąż pana Mecenas, ergo pani Koletty Bolbec czuły się o wiele mniej nieszczęśliwy. Chodziliby do biura, przyjmowałby pacjentów — czy ja wiem, zresztą, jakie zawody pozwalałyby jeszcze łaska wie uprawiać mężczyznom? Zdaje mi się, że coś by się dla pana Bolbec na tym świecie znalazło do roboty, prócz zajęć gospodarskich i, tak zwanego, „zbijania bąków“. To też wina nienormalnego ustroju życia państwa Bolbec spada nie tylko na panią Kolettę.

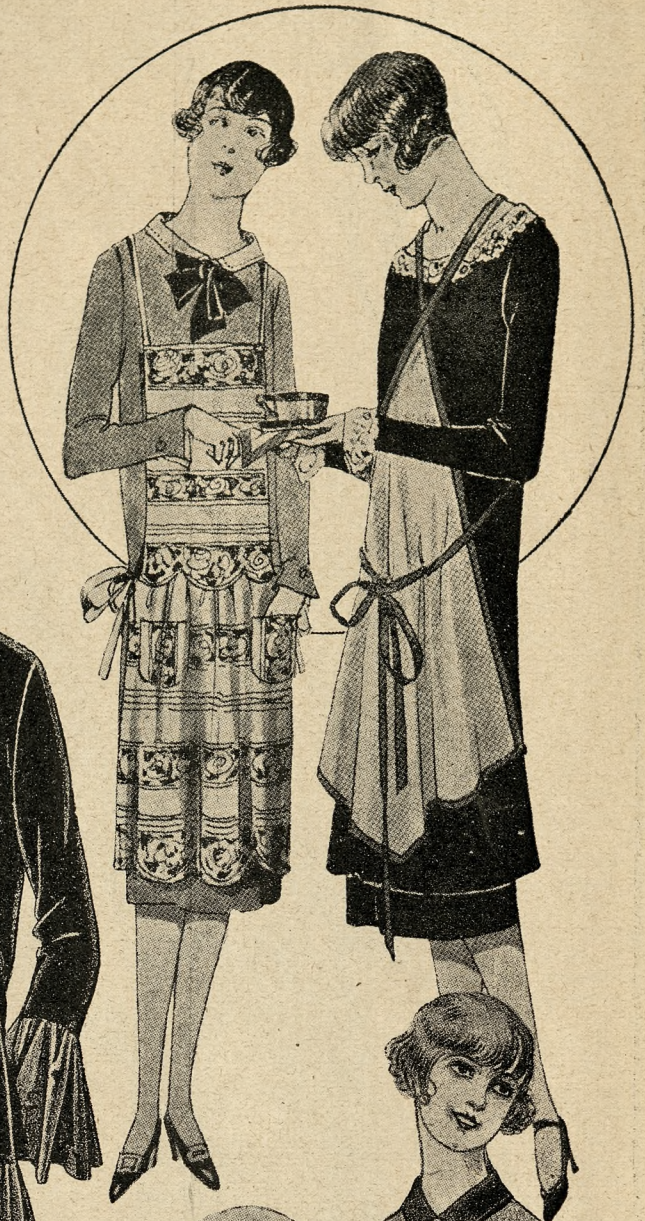
Uroczą ta osóbką jest adwokatem. Adwokatem wziętym, znanym, więc musi się widocznie dobrze wywiązywać ze swego zadania. Zawód adwokata tak absorbuje panią Kolettę, że nie ma absolutnie czasu na zajęcie się domem. Stąd obowiązek ten spada na szanownego małżonka. Przypuszczam, że gdyby pan Edmund również był adwokatem, nie zmuszono go do zniewieszczenia. Ale pan Edmund woli nic nie robić i utyskiwać na swój los. „Zaniedbywany“ przez żonę, „spragniony miłości, wypełnia sobie czas błahostkami i szuka pociechy u innej stuprocentowej“ kobiety. Tak mówią autorzy komedji. Nie możemy się z nimi zgodzić, żeby pani Mecenas Bolbec choć w jednym calu nie była kobietą. Jest nią zarówno wtedy, kiedy przygotowuje się do obrony, jak wtedy, kiedy kaprysi przy mierzeniu togi. (Czy mężczyzna, który kaprysi przy mierzeniu fraka też jest śmieszny?). I jest kobietą, kiedy dowiaduje się, że pan Edmund się pocieszył. Cierpi, że inna kobieta zabiera jej męża, cierpi z powodu podrażnionej ambicji, a może w gruncie kocha męża? Edmund wyzyskuje chwilę słabości Koletty i przypuszcza atak do jej serca. Przypomnienie pierwszych chwil małżeństwa, romantyczne perspektywy robią swoje: Koletta zrzuca togę i biret i przeistacza się w kobietę światową.

I z tą chwilą zaczyna się nowa serja utrapień pana Bolbec. Małżeństwo, w którym tylko kobieta pracuje, jest nieznośne, ale gdy obie strony nic nie robią?... Przepraszam, gdy obie strony się bawią?... Ruchliwa natura pani Koletty uniemożliwia jej spokojny pobyt w domu i zajęcie gospodarstwem; zbyt przywykła do czynnego życia. Godząc się być żoną swego męża, to jest wesołego lekkoducha, szybko dostraja się do niego, Sale, dancinigi, wenty, sądy konkursowe (sąd będzie do końca życia prześladował panią Kolettę). Edmund zyskał bardzo mało na tej zmianie. Przeciwnie nawet. Przejście Koletty w kobietę światową zbudziło w niej drzemającą dotychczas kokieterję. Teraz, kiedy przechodzi obok zakochanego w niej po uszy dependenta, nie wzruszy pogardliwie ramionami, ale powie z uznaniem: „Ładny chłopiec“. To dopiero początek... To dopiero pierwszy... Edmund czuje grożące mu niebezpieczeństwo. Chwyta się ostatniego środka. Podstępnie uderzy znów w strunę niezaspokojonej ambicji Koletty, nakłoni ją znowu do „mecenasostwa“. Ale tym razem się zaasekuruje: zostanie jej sekretarzem, będzie jej pomagał w pracy. Za jednym zamachem pozbedzie się rywala i wypełni sobie życie. Na tem kończy się komedja panów Verneuil, i Berra, a morder? (jeżeli jest...) Bezbieczeństwo i szczęście w małżeństwie daje tylko obustronna praca.

Panowie Verneuil i Berra zręcznie i umiejętnie wyzyskali doskonały komedjowy temat, zmiany ról w życiu: mężczyzna stał się kobietą, kobieta mężczyzną. Kpią na potęgę z „męża pana Mecenas“, ale nie oszczędzają również i samego Mecenas. Słusznie: rozumna żona głupiego męża zawsze jest śmieszna. Na to nic nie poradzimy. Prostu powinniśmy to sobie wziąć za przestrożę...

Pani Cwiklińska w roli Mecenas Bolbec, rozpostarła przed nami cały czar swego talentu. Tyle razy pisano o jej cudownej sztuce konwersowania, że niewiele można już dodać komplementów i pochwał. Chyba jedno: pani Cwiklińska dowiodła tym razem, że kobieta może być znakomitym adwokatem. Co za przebiegłość, jaki brak skrupułów, co za zdolność zjednywania sobie ludzi! albo to opanowanie logiki! Nie mówię już o efektach czysto zewnętrznych. Ja osobiście, z całym spokojem powierzyłabym swoją sprawę pani Cwiklińskiej. Inna rzecz, czy chciałabym ją mieć za sędziego... Doskonałym partnerem pani Cwiklińskiej był Grabowski. Zabawny i miły. Panna Kościeszanka daleko więcej mi się podoba w roli amantki komicznej, niż lirycznej. Miała dużo wesołości i wdzięku. Panna Gellówna dobrze zagrała kobietę doktora. Najmniej szczęśliwy wieczór miał może p. Roland; dobrze ujął swój typ p. Skonieczny. Dekoracje pani Mucharskiej artystyczne i ładne. Z. P.





1176



1177



1178



1179



1180



1181



1182



1183

1184

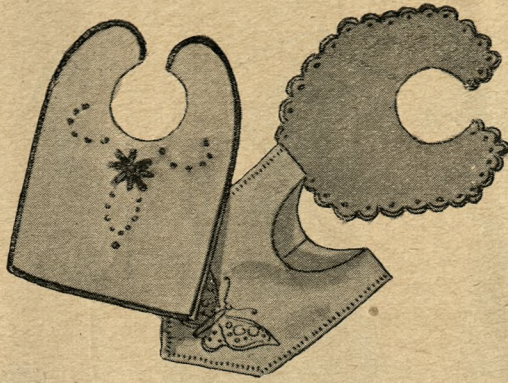
1185

1186

1187

1188

1189



1190

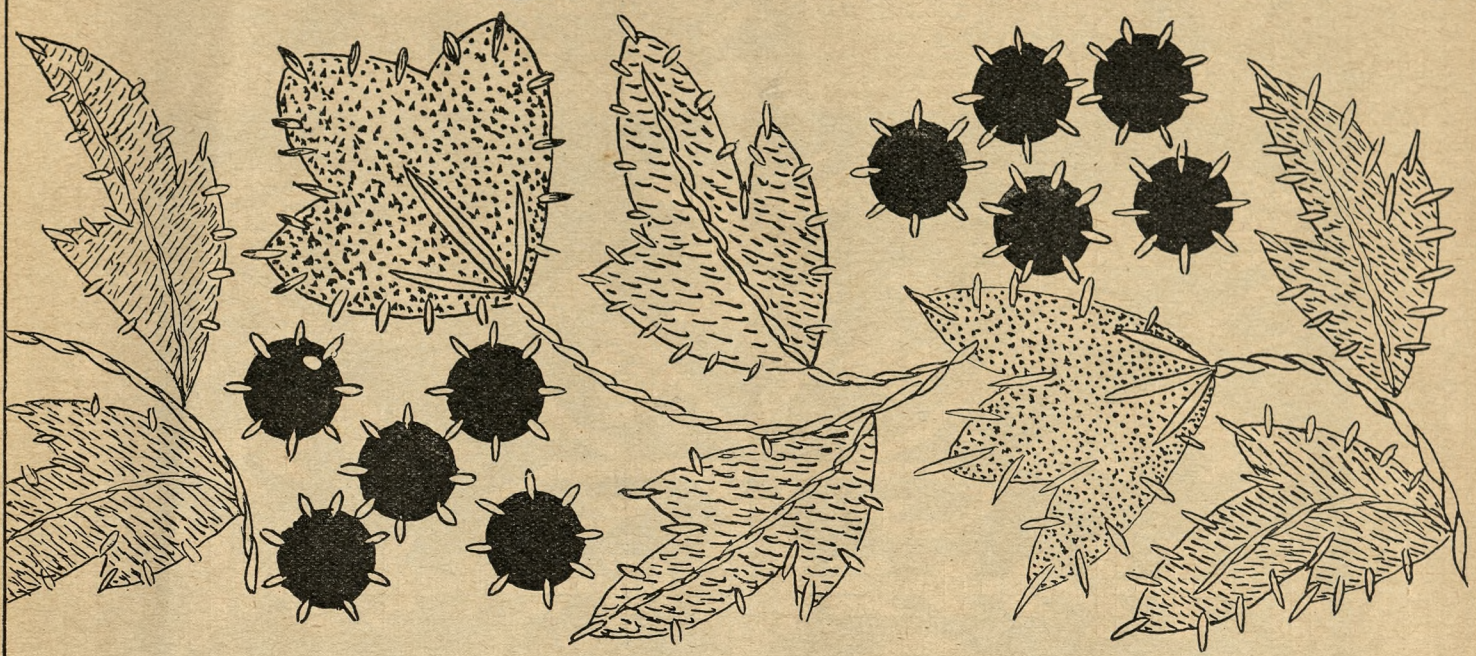
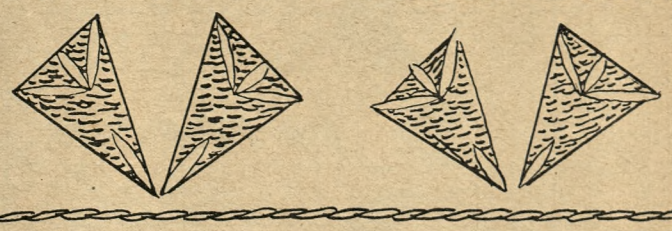
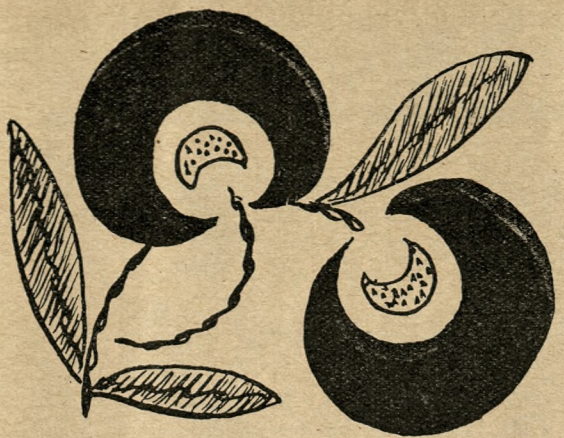
1191

1192

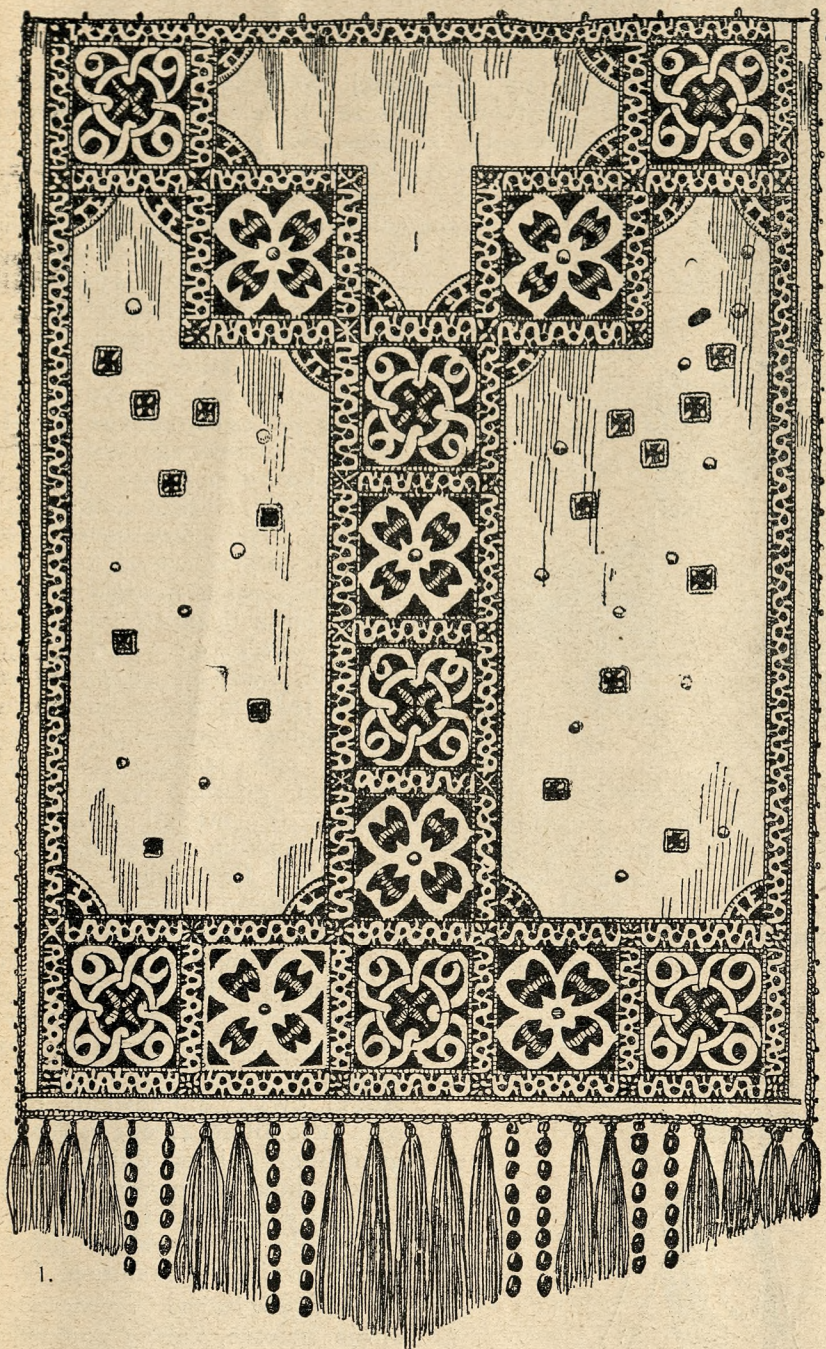
1193

1194

1195





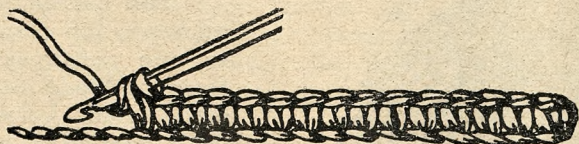


STORA OZDOBIONA SZYDEŁKIEM I HAFTEM

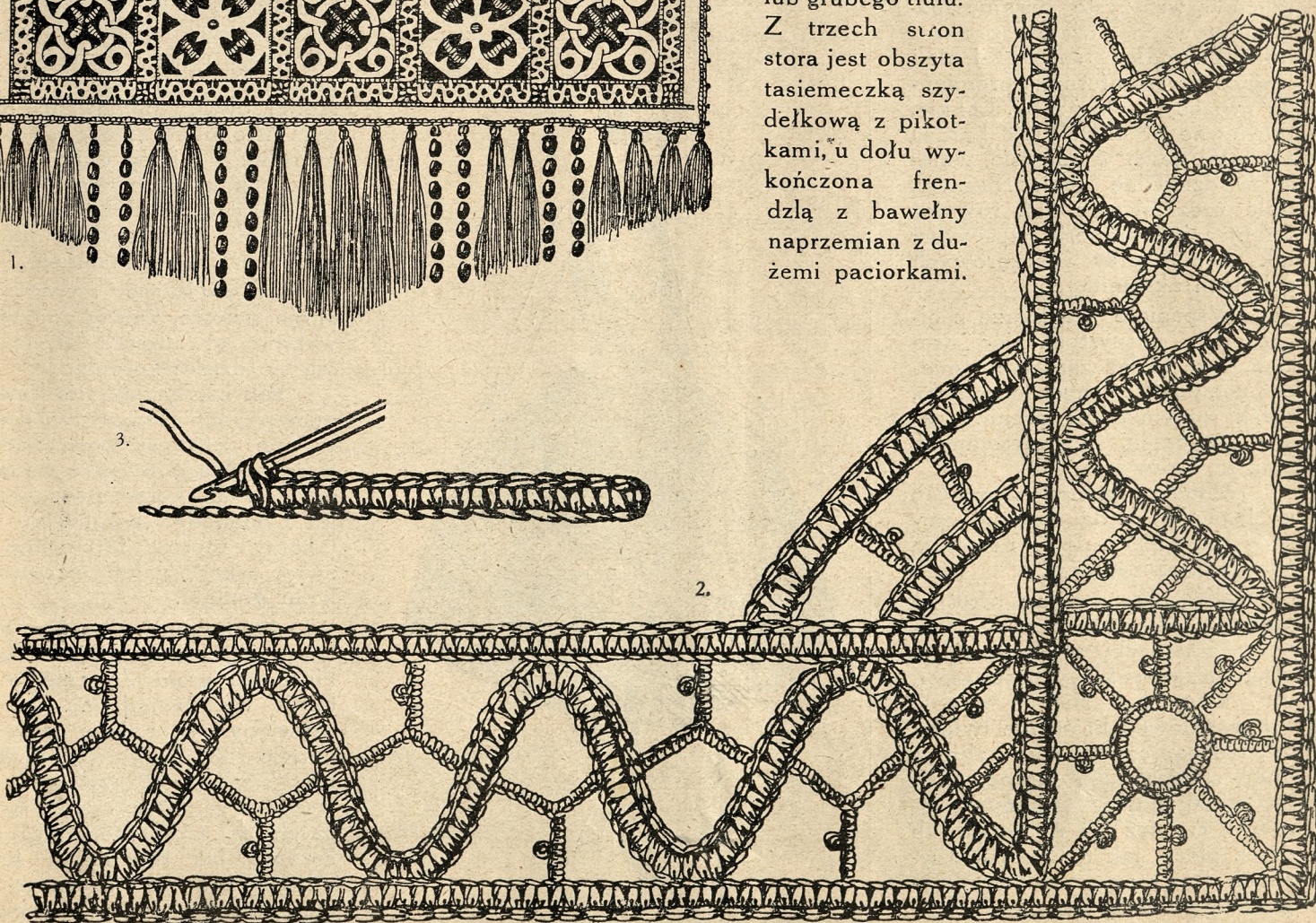
Ładne zestawienie wstawki szydełkowej i kwadratów haftowanych widzimy w storze (rys. 1). Zrobiona z szarego płótna, haftowana bawełną zwaną „coton perlé” tego samego koloru. Grubość bawełny zastosowana do materiału. Kwadraty, umieszczone jeden za drugim, przedzielane są wstawką z koronki irlandzkiej, robionej szydełkiem (rys. 2). Wykonanie jej jest bardzo proste. Tasiemeczkę robi się na podstawie łańcuszka, długości takiej, jak tego wymaga wymiar potrzebny. Następnie odwraca się robotę, robi rząd oczek ścisłych — w każde oczko łańcuszka (rys. 3). Tasiemeczkę fastrygujemy podług deseni i łączymy zapomocą nitki dzierganych z pikotami lub bez. Można fastrygować tasiemeczkę od razu na płótnie które wycina się po skończeniu wstawki.

Gładkie tło stori przyozdobione jest rozrzuconymi po niej kwadratami, między którymi widzimy haftowane duże grochy. Bardzo ładnie wyglądałyby, zwłaszcza na szarem płótnie, kwadraty wykonane haftem kolorowym przy wstawce szarej. Zamiast płótna, można użyć na tło stori siatki, lub grubego tiulu. Z trzech stron stora jest obszyta tasiemeczką szydełkową z pikotkami, u dołu wykończona frendzlą z bawełny naprzemian z dużymi paciorkami.

3.



2.



SUKNIE BALOWE

W promieniach ciepłego, prawie że wiosennego słońca, kroczy ku nam szybkim krokiem karnawał. W smugach modnych perfum, w tęczy barw, lśnieniu strassów, w matowej połyskliwości pereł, zwojach feerycznych szali, wspa- niałą oszytych frendzlą, w pancerzu pozłocistej lamy, w puchu kosztownych futer pod takt hałaśliwych jazz-bandów snują się w wyobraźni naszej upojne miraż! Kolorowe tablice pięknych żurnali, modne materje, aksamity i koronki, rozrzucone zręczną ręką poza kryształową szybą magazynów, ciągną oczy i drażnią wieczny głód pożądlivosti niewieściej. Moda tegoroczna otwiera na ścieżaj drzwi naszej wyobraźni. Niczem dobra wróżka, podsuwa kanwę, na której haftować wolno wzorzyć i wspaniale. Paillety, strassy, koronki, perły, połyskliwe materje, aksamity, futra i lamy, to najwdzięczniejszy materiał, jakim karnawał roku 1927 posiłkować się będzie kreując cudne szaty, w których korowód wiernych adeptek przyjdzie bić pokłon swemu władcy.

Wśród bogatego kolorytu balowej sali na pierwsze miejsce wysuną się barwy: biała, czarna, ponsova i fioletowa.

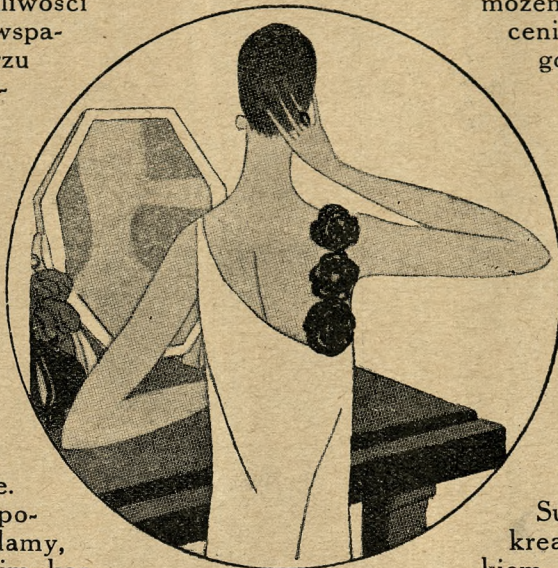
Czerwienią mienić się będą aksamity, koronki i jedwabne muśliny; na czerni przezrzystych tkanin rzucone wzorzyste desenie różnokolorowych kwiatów z aksamitu; na podłożu śnieżystej bieli lśniące strassy uformują promienne gwiazdy, koła i zęby. Lekkie, powiewne frendzle, tak bardzo modne i nowe w pomysłach, wniosą w dziedzinę toalet naszych miłe urozmaicenie, jak również i fantazyjne draperje, stosowane tak chętnie przy wieczorowych sukniach aksamitnych.

Wspaniałe wachlarze z olbrzymich, puszystych piór strusich, kryć będą czarujące usmiechy ust, podkreślonych karminem, blask roześmianych źrenic i szepoty zwierzeń, wyczarowanych muzyką balową.

Modele sukien balowych pociągając nas będą nietylko barwą i lśnieniem, ale i nowością ślicznych szczegółów.

Wycięcia, idące skośnie przez plecy, podtrzymane są jednym ramionczkiem z materiału, drugim z połyskliwych strassów, lub kwiatów. Niema wogóle sukni balowej, która nie byłaby ukwieconą, czy to przy zbiegu linii staniczka i drapowanej, lub układanej w falbany spódniczki, czy też na ramieniu, lub przez plecy, jak to wskazuje rysunek 1 na którym widzimy oryginalną girlandę kwiatną, zaczy-

nającą się na wysokości ramienia. Suknie bardzo strojne przybierają jeszcze będziemy wyszywanymi deseniami ze strassów, paciorków i pereł — możemy jednak wnieść pewne urozmaicenie, naszywając bogato i zwięzłe górę sukni, a dół pozostawiając gładki i jednobarwny, lub też narzucając na pailletowaną, czy wyszywaną paciorkami suknię, rodzaj bolerka z przezrzystego, jedwabnego muślinu. Suknie takie winny mieć spódniczki bardzo szerokie, o ile są wykonane z lekkiego i zwiewnego materiału, a lekko drapowane, gdy w grę wchodzi cięższa materja, lub aksamit. W pierwszorzędnym firmach zagranicznych spotykają się też często modele sukien, układanych z licznych falban tiulowych o kolorycie tonowanym.



1.

Staniczek gładki, o głębokim półokrągłym wycięciu, podłożony kamizelką z błękitnego tiulu — bardzo szeroka zmarszczona spódniczka, wykończona szeroko od dołu takimże tiulem, haftowanym bogato w niewielkie owale nitką srebrną i o ton ciemniejszą od barwy tiulu — środki owali aplikowane czarnym aksamitem. Z przodu, u zbiegu staniczka i spódniczki, duża stylowa kokarda, przepięta klamrą ze strassów. — Pas w miejscu. Pantofelki z czarnego ałtasu, strojne lśnjącymi klamrami. (r. 2)

chwili — stanowią one jaskrawy kontrast z uświęconą linią, ciesząc się, pomimo to, powodzeniem i uznaniem estetów. Z modeli stylowych, wysuwa się na pierwszy plan sukni z czarnego jedwabnego aksamitu, model firmy Lebouvier.



2.

Omawiając szczegółowo stroje balowe, należy podkreślić wybitne powodzenie, jakim cieszą się dzisiaj koronki.

Tak czarne, jak i farbowane na żywe, lub ciemniejsze barwy, są one podstawą toalet wieczorowych. Moda wysuwa na pierwszy plan kolor ponsowy, to też i pomiędzy koronkami spotykamy często farbowane na żywy szkarłat, lub ciemniejszy kolor granatu.

Spokojny, a bardzo efektywny i elegancki model z koronki koloru grain de café, o wybitnie wydłużonej linii tyłu — ożywiony wspaniałą, żywą w barwie różą, przypiętą na ramieniu, cieszył się wybitnym powodzeniem na jednym z bogatszych pokazów mód bieżącego sezonu; jak również i sukni udrapowana ze ślicznego białego szala, haftowanego w kwiaty

i oszytego szeroką frendzlą. Model ten, jako nad wyraz charakterystyczny i ciekawy nowością pomysłu, podajemy tutaj. (r. 3)

Prócz bardzo strojnych i wspaniałych sukien balowych musi się znaleźć zawsze w garderobie naszej tak doskonale przez francuzów nazwana, suknia „robe passe-partout“.

Wybitnie interesująca swym spokojem i elegancją, źródłem których jest skromność i prostota, odpowiednią będzie tak w teatrze, restauracji, jak i na skromniejszym raucie, lub prozonym obiedzie.

Suknię taką tej zimy zrobimy z aksamitu koloru niebieskiego, błado zielonego, blond, lub czarnego. Staniczek, skrzyżowany na przodzie, jako przybranie—futro, lub kawałek ładnej, cennej koronki.

Uczesanie gładkie i skromne nie solidaryzuje się z wyszukaniem stroju wieczorowego, to też do sukien wieczorowych przyjęły się już długie angielskie loki.

Są tacy, którzy uważają loki za delikatne przejście ku długim włosom, — fryzjerzy jednak zaprzeczają temu kategorycznie, zapewniając nas, że paryskie prądy utrzymują w sile modę krótko strzyżonych czuprynek.

Toaletę wieczorową podnoszą i wysubtelniają modne szczygółty, do których w pierwszym rzędzie należą perły.

Niema dzisiaj prawie szyjki kobiecej, któraby umiała obejść się bez ślicznego cacka, jakim jest połyskliwy sznurek pereł, wykończony ładną i misternie wykonaną zapinką. Nie mówię tutaj o perłach prawdziwych, są one, szczególnie u nas, rzadkiem zjawiskiem.

Imitacje — to dzisiaj krzyk mody, dochodzą one do prawdziwej perfekcji, a efektem niejednokrotnie nie ustępują prawdziwym. Paryż obfituje w perły sztuczne, które zapożyczyły od prawdziwych ciepły ton, a tak zwany „orient“, do złudzenia naśladować umie „zbytkowne siostrzyce, co w wód głębinie

kryją się przed pożądlivością ludzkiej zaborczości. Są różne sposoby noszenia pereł. Z sukniami strojnymi harmonizują podwójne i potrójne sznury, ujęte w płaską, strojną zapinkę, która dodaje im wyrazu i wdzięku, lub też długie pojedyncze, związane na węzeł i spływające wzdłuż sukni.

Nowym i ciekawym sposobem noszenia pereł jest przerwucenie sznura na plecy i związanie go poniżej szyi na węzeł. Sznur taki winien być niezbyt długi i kończyć się wraz z linią głębokiego, podłużnego wycięcia. (r. 3)

Okrycia balowe z aksamitu, futer i lamy zachowały ulubiony kształt peleryn, opływających całą postać, lub rzadziej—półdługich, z wybitnie wydłużoną linią tyłu i krótkim przodem.

Strojne lisami, szenszylami, gronostajami, kretami, lub imitacją z królików, roztaczają swój przepych i wyszukaną elegancję.

Do najmodniejszych okryć wieczorowych należą płaszczki ze skórek króliczych, których futerko imituje kolorytem gronostaje. Skórki takie, przykrawane na wzór gronostajów, składają się na wspaniałe i bogate płaszczki.

Niezliczona ilość gronostajowych ogonków podnosi efekt i nadaje imitacji pozór skór gronostajowych.

Z kosztownych i zbytkownych okryć balowych na pierwszy plan wysuwają się swobodne, o bardzo szerokich rękawach, płaszczki szenszylowe, strojne popielatemi lisami, lub gronostajowe, oszyte futrem białych lisów. Są to jednak kreacje, o których u nas tylko się słyszy, a jeżeli spotykamy je, to bardzo rzadko i przeważnie na ramionach zagranicznych gości.

Każda z nas musi obejść się bez tych wspaniałości, nietylko z konieczności, ale i w imię rozsądku i, tak bardzo dzisiaj wskazanego, umiarkowania. Peleryna, tak zwana „cape“, z aksamitu, ujęta w puszysty futrzany kołnier, zastąpi doskonale te wszystkie kosztowne kreacje, jeżeli bez okrycia wieczorowego obejść się nie będziemy mogli. W. D.



Z A B A W K I

Cudowny wieczór wigilijny prześnił się, jak sen. W zacisznych dziecięcych komnatach mrok i cisza. Miarowy oddech rozchylonych usteczek, złote loki, rozrzucone dokoła rozgorączkowanego urokiem przeżytej chwili twarzyczek, rytm niespokojny zachwyconych serduszek i sny, czarowne sny pełne wizyj najśrodszych.

Bo oto ziścił się cud. Czyjaś dobra ręka wniosła w krąg dziecięcego istnienia uśmiech promienny, ziściła marzenia najskrytsze, osnuła niewysłowionym czarem ten wieczór jedyny, wieczór długo oczekiwanym — święto maleńkich.

Cóż znaczy szal złowrogich namiętności, partyjnych walk, purpura krwi, co przelała się strugami, co znaczą łzy, szarpanina serc ludzkich, gorzki posmak tęsknoty i niedoli—wobec uśmiechu szczęścia ocząt dziecięcych, zapatrzonych w wizję świetlanego drzewa, olśnionych błyskotliwością cacek, duszyczek, kroczących w słodkim niepokoju i zachwycie ku tej promiennej gwiazdce wieczornej, co mruga figlarnie zanim stanie się wcieleniem marzenia.

Gdy szary świt, zaglądając poprzez szyby okienne, zbudzi do życia pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia, zerwą się ze snu maleńkie postacie, otulone w biel długich nocnych koszulek, a pożądlive ręczęta wyciągną się ku skarbowi, pełnym niewysłowionego uroku nowości.

Tak mało potrzeba, aby wyczarować na usteczkach dziecięcych uśmiech szczęścia, a zarazem tak wiele.

W świat podarków świątecznych, ofiarowanych maleńkim, nie trzeba wnosić trzosów, pękających złotem, ale skarb subtelny wyczucia i odgadnienia duszyczki dziecięcej.

Skomplikowanym główkom, które od zarania lubują się w trudach i dociekaniu, ofiarowaliśmy budowlane klocki i zawile łamigłówki; bujnym naturom i oczętom, lśniącym bohaterskim zapalem, szeregi barwnych rycerzyków, koniki, szabelkę, fuzję i pozłociste kaski wojenne; umysłem, rozświetlonym żądzą wiecznych wynalazków—aeroplany, samochody, maleńkie parowozy; oczętom marzycielskim—książki, ujęte we wzorzyste okładki, których przez karty wiją się bajki świetlane; dziewczynkom o tkliwych i opiekuńczych duszyczkach—lalki, nad którymi roztoczają macierzyńską pieczołowitość — źródło troskliwości i szczęścia bez granic.

Z chwilą, kiedy podarki przejdą z zacisznych szufład i szaf, co je kryły zazdrośnie, w posiadanie tych, którym były przeznaczone, rola nasza — rola tych obdarowujących nie kończy się jeszcze. Teraz nauczyć musimy dzieci, jak bawić się i jak szanować podarki.

Jeżeli w niespełna dni kilka po wyczekiwanej, tak długo chwili, zostaną zaledwie smutne szczątki ze ślicznych niedawno cacek, wina to nietylko dzieci, ale i nasza. Rozumnym i pełnym zainteresowania współdziałaniem w zabawie dzieci nauczyć można wiele, wskazać drogę, na jakiej osiągną maximum zadowolenia, wykorzystać całą wartość, głęboki urok i sens pedagogiczny zabawki.

Nauczmy dziecko obchodzić się należycie z książką, chroniąc jej ozdobną okładkę kolorowym papierem; przyuczajmydo układania jej na specjalnie po temu konstruowanej półeczce po przeczytaniu, lub obejrzeniu obrazków, a wprędce zgromadzi sobie ładną i zasobną biblioteczkę, która da mu w następstwie wiele zadowolenia i radości, Wznosmy z dziećmi gmachy z klocków budowlanych, organizujmy bitwy ze współdziałaniem ołowianych żołnierzyków, samochodowe i samolotowe podróże, ucząc je przytem poglądowo poznawać własny i obcy kraj, pomagajmy w użyciu miniaturowych narzędzi, budząc do życia radość tworzenia; starajmy się nadewszystko przyzwyczaić dziecko od najwcześniejszych lat do poszanowania zabawek, tłumacząc mu, jak wiele szczęścia przyczyni innemu maleństwu, którego rodzicom nie dana jest radość obdarowywania, jeżeli zdoła przechować zabawki w porządku, przekazując je z czasem na gwiazdkę dla biednych dzieci.

Dowodem, jaki ogromny dorobek dać można dziecku, kierując umiejętnie jego zabawą, (będzie wczucie się w stosunek dziewczynki do ukochanej lalki). Niepostrzeżenie rozwijamy w niej instynkt macierzyństwa, uczymy dbałości i troskliwej opieki. Staranie o pościel i łóżeczko przybranej córeczki, czuwanie nad garderobą lalki, szycie, pranie i prasowanie dla niej, które będzie najmilszą rozrywką, troskliwość w domniemanej chorobie, poczucie odpowiedzialności i spełnionego obowiązku względem tej, napozór bezdusznej istoty, która jest jednak dla małej dziewczynki wcieleniem serdecznego umiłowania i najmilszą towarzyszką zabaw, — odezwie się w przyszłości w sposób dodatni.

Bogaty świat wyobraźni dziecięcej, to kawa, na której kochające ręce haftować mogą wzorzyście, trzeba tylko przejąć się całym sercem tem najszczytniejszem posłannictwem, a szanując indywidualność młodocianej duszyczki, szukać dróg, którymi powieść ją tak łatwo ku pięknu i racjonalnemu ustosunkowaniu się do życia.

Zabawka — odpowiadająca potrzebom i umiłowaniom rozwijającego się, niczem kwiat w słońcu, pod wpływem zewnętrznych wrażeń, umysłu dziecięcego, w umiejętnych rękach stanie się naszym najlepszym współczynnikiem i najłatwiejszym środkiem pedagogicznym.

W. N...ska.



KAKTUSY

Hodowla kaktusów była do niedawna obcą szerokiemu ogółowi. Dziwaczne ich kształty pociągały ku sobie nieraz dusze artystyczne — naogół spotykało je się jednak rzadko, a jeszcze rzadziej — podziwiało, przechodząc bez zbytniego zainteresowania obok chłodnej szarzyzny tych niecodziennych roślin. W dzisiejszych gorączkowych i goniących za ciąglą nowością czasach — kaktusy stały się modą chwili.

I tak, jak dzieje wszystkich powojennych kaprysów, przechylenie się nagle ku tej modzie jest i zostanie dla nas zagadką. Rozwiązania jej szukać może należy w tem, że kaktusy działają, podobno, nie podniecająco, jak szereg innych kwiatów, a kojąco na system nerwowy, a może i w wiecznej tęsknocie za nieznanem, którego uosobieniem są egzotyczne kraje — kaktusów kolebka.

Oczy, wpatrzone w niecodzienny, kapryśny ich rysunek, w gorącą kolorystykę kiść kwiatów, co niespodziewanie zakwita na tle zimnych i szarych liści, gonia wizję dalekich łądów, skalistych wybrzeży, błękitnych fal, omywających złociste piaski i tropikalnego słońca, co pieści i hoduje roślinność południa.

Kaktusy stają się z dnia na dzień częstszym upominkiem. Przy nabywaniu ich kierować się jednak trzeba regułą, wspólną wszystkim doświadczonym zbieraczom, którzy największy nacisk kładą na pochodzenie roślin radząc starać się o nie w poważnych źródłach, jak ogrody botaniczne, zakłady ogrodnicze, specjalizujące się w hodowli kaktusów, co daje gwarancję siły i zdrowotności okazów.

Najzawodniejsze w dalszej hodowli są maleńkie kaktusiki, prowizorycznie posadzone w doniczkach, które tak często spotykamy na wystawach kwia iarni. Lilipuci wazonik, harmonizujący z kształtem roślinki, nie daje jej jednak dostatecznej ilości ziemi, a co zatem idzie, nie stwarza i warunków, sprzyjających rozwojowi.

Przy pokojowej hodowli kaktusów najważniejszym będzie zawsze odpowiednie wybranie im miejsca, do czego nadaje się najlepiej okno, specjalnie dla kaktusów przeznaczone — okno, które nie będzie zbyt często otwierane, a parapet, specjalnie dla kaktusów przeznaczony, zapewni im bezpieczeństwo, spokój i nienaruszalność. (rys. 1).

Najlepiej rozszerzyć sztucznie parapet okienny, zamieniając go w rodzaj niezbyt głębokiej skrzyni, którą napełniamy miałem torfowym, ustawiając w nim doniczki. Sposób ten z dwóch względów okazuje się najpraktyczniejszym: po pierwsze ułatwia ustawienie różnych wielkością doniczek na równym poziomie, po drugie, dając ciepło korzeniom kaktusowym, chroni je od zbyt wysokiej temperatury, która przy silnej operacji słonecznej wytwarza się tak łatwo, zważywszy, że doniczki rozprężają się silnie pod wpływem promieni słońca, na czem dotkliwie cierpią delikatne korzonki kaktusów. W słoneczne i upalne dni należy cieniować okno, przysłaniając je niezbyt ciężką firanką.

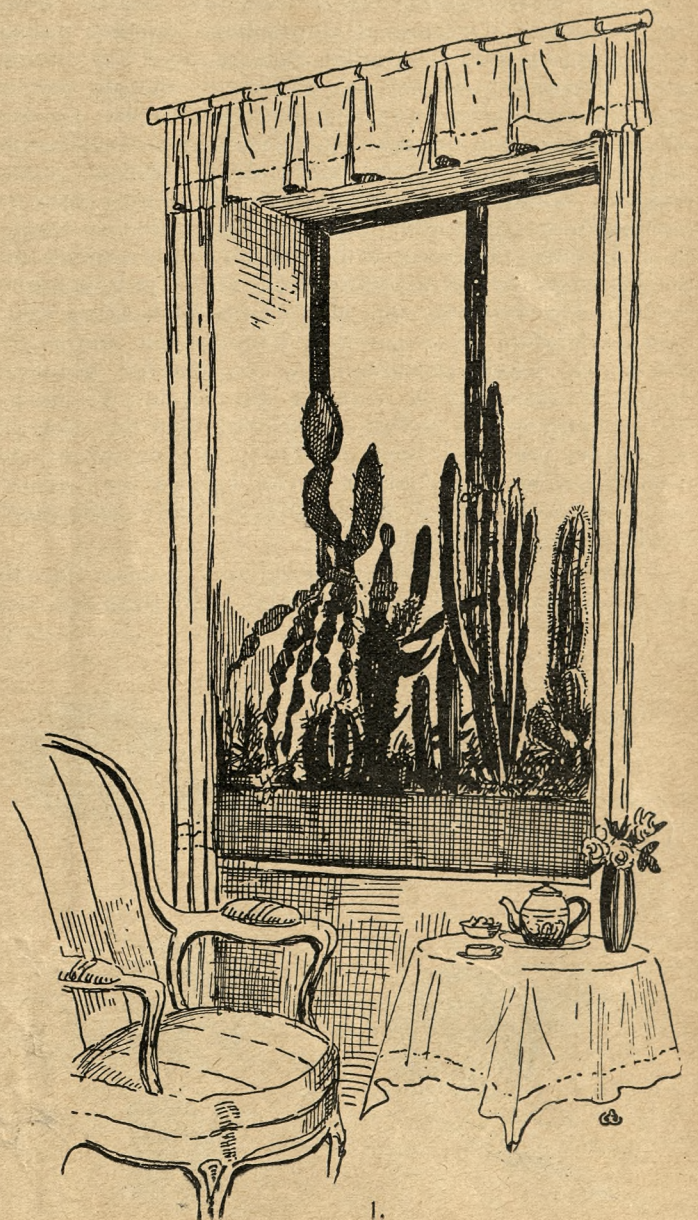
Wiosną wystarcza rzadkie i słabe przewietrzenie, w lecie dobrze będzie okno, zdobne kaktusami, które zawsze winno otwierać się na zewnątrz — odchyłać na 2—3 godziny i to zawsze w porze wolnej od operacji słonecznej.

Podlewanie nie ma ustalonych reguł — jest ono kwestją intuicji i wyczucia. Przedewszystkiem każda doniczka musi stać nie wprost na podstawce, a na dwóch drewniakach, które chronią ją od kontaktu

z wodą, spływającą zazwyczaj przy polewaniu i gromadzącą się na podstawkach. Woda musi być pokojowej temperatury — nigdy nie należy polewać kaktusów wodą wziętą wprost z kranu; do polewania należy używać konewki o cienkim wylocie, aby uniknąć naruszania ziemi. (rys. 2). W lecie trzeba uważać na to, aby ziemia w doniczkach nie wysychała na popiół, co przeciwdziała rozwojowi rośliny — w okresach dżdżystych, kiedy wilgoć, jaką jest przesycone powietrze, oddziaływa i na ziemię w doniczkach, polewać umiarkowanie — późną jesienią przejść stopniowo do coraz rzadszego polewania — w zimie nie skrapiać nigdy roślin, wycierając je tylko miękkim gałgankiem z kurzu, którego nie znoszą.

Aby racjonalnie pielęgnować kaktusy, trzeba koniecznie znać ich odmiany i nazwy, co pozwoli nam łatwo zorientować się w sposobie hodowli, szczególnie, jeżeli zadamy sobie trud przestudjowania gatunków, z których jedne wegetują właśnie najsilniej, gdy drugie wymagają spokoju, chłodu i umiarkowanej wilgoci.

Kaktusy, które wegetują na wiosnę i w lecie, powinny spędzić zimę w pokoju, o temperaturze —



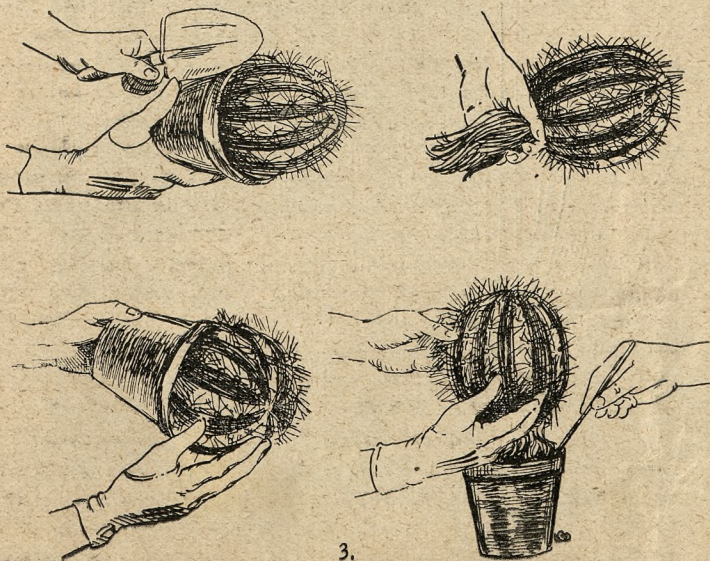
5 stopni, prawie nie polewane — starannie okurzane i przeniesione wiosną, kiedy krążenie soków daje się zauważyć przez żywsze zabarwienie liści, do normalnej pokojowej temperatury, oraz obficie polewane. W okresie kwitnienia dobrze jest polewać kaktusy wodą z niewielką domieszką soli kuchennej. Kaktusy, wegetujące i kwitnące w zimie, powinny stać w temperaturze 14 stopni. Wszystkie wymagają dużo światła, niezbyt ostrego słońca i świeżego powietrza.

Przesadzanie kaktusów (rys. 3) ze względu na ich kolącą powierzchnię, jest trudne i uciążliwe, najlepiej zatem przesadzać je w grubych skórzanych rękawiczkach, co zabezpieczy ręce i dostatecznie ochroni je od pokłucia. Przesadzać należy kaktusy, które wegetują wiosną i latem, na bardzo wczesną wiosnę, zanim soki krążyć zaczną — inne — po okwitnieniu.

Ziemię kaktusową, z domieszką węgla drzewnego, który daje jej przepuszczalność, tak nieodzowną dla racjonalnej hodowli kaktusów, należy przygotować z góry, przerabiając ją kilkakrotnie. Jeżeli przesadzamy większe sztuki, czynność tę należy wykonywać w dwie osoby, aby uniknąć kłódnienia kaktusa, który łatwo podlega uszkodzeniu. Duże sztuki przesadza się co 4—5 lat — małe — częściej, gdyż rozłożyste ich korzenie cierpią zazwyczaj, mając zbyt mało ziemi i rozpostarcia.

Zmieniając doniczki, trzeba dawać je o numer większe, wystrzegając się przesadzania w zbyt duże. Po przesadzeniu ziemię w doniczkach ugnieć mocno drewnianą kopystką — podłać dopiero po 4—5 dniach, gdyż korzonki nadzwyczaj delikatne cierpią bardzo przy przesadzaniu i pracują leniwiej, to też zbyt wilgoć zazwyczaj im szkodzi. Ziemi starej, wyjałowionej, bez siły odżywczej, nie należy używać nigdy. Kaktusy lubią umiarkowane zasilanie ziemi i płacą za nie obfitem i pięknym kwitnieniem. Słicznie wyglądają kaktusy sadzone w barwnych malowanych doniczkach, powierzchnia takowych musi jednak pozostać niepolewana, inaczej, jako nieprzepuszczalna, szkodzi im na wegetację, i lepiej jest może dla kaktusów, jeżeli posadzone w zwyczajnej glinianej doniczce wstawimy w ozdobną donicę, lub żardinierę na wywyższeniu z dwóch drewniaków, bacząc, aby tak od spodu, jak i z boków miały wolny dopływ powietrza. Na spód doniczki, w której kaktus ma być posadzony, trzeba włożyć kilka skorupki, aby woda miała odpływ przy polewaniu.

Przesadzając kaktusy, spotykamy często odrostki już zakorzenione, które, odłączając delikatnie, sadzimy



oddzielnie, (r. 4) wypisując na małej deseczce nazwę rośliny oraz rok, w którym zaflancowana została, gdyż ciekawą jest obserwacja, po ilu latach kwitnąć zacznie. Jeżeli odrostki nie posiadają jeszcze korzeni, odcinamy je w przegubie, zostawiając dni kilka, aby przewędły, poczem niezbyt głęboko sadzimy w czystym piasku i przywiązujemy rafią do palika — w niedługim czasie srebro puszcza korzenie i wegetować zaczyna.

Kaktusy tracą czasem siłę i wydajność kwitnienia. Przyczyną tego jest zazwyczaj wyczerpanie i skisnienie ziemi, której powierzchnia, pokryta zieloną powłoką, nie dopuszcza dostatecznej ilości powietrza i światła. Należy wówczas przesadzić roślinę, dając jej koniecznie nową doniczkę i silną, świeżą, odpowiednio wyrobioną ziemię, a zło łatwo zazęganem zostanie.

Z kaktusów, najwdzięczniejszych do hodowli pokojowej, wymienić muszę następujące:

Rodzina kaktusów liściastych — *Phyllocactus*. Kwitną co roku. W lutym ukazują się pączki — w końcu kwietnia, początkach maja zaczyna się okres kwitnienia i trwa przez całe lato. Trzymać je trzeba w świetle, koniecznie na jednym i tem samym miejscu, nie poruszając i nie obracając,

Do najpiękniejszych odmian *Phyllocactus*ów należą:

Phyllocactus phyllanthoides — małe różowe kwiatki.

Phyllocactus crenatus — duże białe kwiaty.

Phyllocactus Wrayi — wielkie żółte kwiaty.

Phyllocactus crenatus Haageanus — wielkie różowe.

Phyllocactus Jules Schlumberger — wielkie lila.

Phyllocactus Adolf Serner — o wielkich kwiatkach białych z żółtą obwódką.

Rodzina — *Cereus* — cieplarniane, trudniejsze do pokojowej hodowli. Niektóre gatunki, jak:

Cereus flagelliformis — liczne niewielkie czerwone kwiaty.

Cereus leptophis — jaskrawo czerwone kwiaty.

Cereus Mallisonii — olbrzymie czerwone.

Cereus Silvestrii — obfite kwitnienie, trwałe ponsowy, daje się łatwo i bez zbytecznego zachodu hodować w pokoju.

Rodzina kaktusów kolczastych:

Echinopsis i Echinocactus. Są to najczęściej spotykane okrągłe i kolczaste kaktusy, które zakwitają po 4 — 5 latach.

Echinopsis Eyriesii — białe kwiaty.

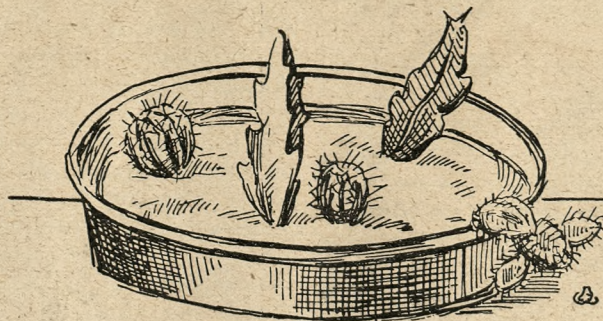
Echinopsis imbricata — białe do różowe.

Echinopsis tubiflora — białe z zielonym.

Etus, microspermis macrancistrus — cytrynowej barwy.

Kaktusy Figowe — kolczaste.

Opuntia monacantha — kwitnie dopiero na starość — kwiat drobny, czerwony.



4.

Opuntia leucotricha — wypuszcza długie jedwabiste białe włosy.

Opuntia aurantiaca — kwiat pomarańczowy z żółtym.

Odmian kaktusów jest ilość niezliczona, to też wymienić je wszystkie, a nawet zanotować tylko te, które hodowcy uważają za specjalnie polecenia godne, byłoby niemożliwym.

Kto interesuje się szczerze hodowlą i kolekcjonowaniem kaktusów, winien przestudjować specjalnie o nich traktujące książki, które, szczególnie w niemieckim języku, przystępnie i bardzo wyczerpująco temat traktują.

W. D.

OSZCZĘDNE KUŚNIERSTWO

Futra dosięgają szczytu, że tak powiem, popularności. Nie tylko widzimy je przy kostjumach, sukniach wieczorowych i balowych, okryciach na ulicę i płaszczach teatralnych, ale miękkie pledy do samochodów, kapy na łóżka i poduszki, zeszywane w deseń z pozostałych kawałków, coraz częściej spotykać się dają. Stanowią one ciepłe, lekkie przykrycie i piękne wykończenie eleganckiego urządzenia — bo nic tak nie podnosi urody, nic nie stanowi tak pięknego tła dla niej, jak miękkie, puszyste futro.

To też nawet te, dawniej pogardzane, królicze futerka, noszą dziś największe elegantski — a pierwszorzędni krawcy i kuśnierze nadają im do złudzenia pozor lutrów, nurków a nawet szenszili. Skromne futro królicze o wiele jest trwalsze od futra jego starszego



brata zajęcia, a mimo to i zajęczych skórek używają na eleganckie wyroby kuśnierskie. Mnożność królików w stanie dzikim jest przysłowiowa — w okolicach, gdzie ich jest obfitość, stanowią poprostu plagę — wolno polować na nie w każdej porze roku i w rozmaite sposoby, aby je tępić niemiłosiernie dla ochrony pól i lasów od szkód, przez nich wyrządzanych. Futerko dzikiego królika mało jest warte; włos krótki, ostry, kolor nie ozdobny robią to, że nie są do galanterji futrzanej poszukiwane. Inna rzecz z uszlachetnionymi rasami w różnych odmianach, nadających się doskonale do hodowli domowej, gdyż to sličnego zwierzątka nie potrzebuje ani obszernego pomieszczenia, ani wielkich wygód. Hodowla królików jest bardzo łatwa: łagodne i miłe, zadawalniają się ciasną norką i żywią byle czem; pozostałe skórki chleba, obierki z jarzyn i owoców, wreszcie trochę zielska, lub trawy z naszego ogródka wystarczą im w zupełności. Chcąc mieć dobrze i prędko wyrosnięte sztuki — odłączając ich od matek, podajemy młodym trochę owsa lub kukurydzy.

Robiąc się hodowcą, trzeba również zrobić się i kuśnierzem, a połączywszy praktyczność z wymaganiami mody i przekonawszy się, że nie święci garnki lepią, radzi będziemy, że mieliśmy odwagę zająć się tą pożyteczną pod każdym względem hodowlą. Jeżeli celem hodowli naszej jest wyprodukowanie jak najpiękniejszych skórek, zwrócić trzeba szczególną uwagę na wybór matek, na kolor i gatunek ich futra. Najcenniejszym jest królik rosyjski, niepokalanej białości, z czarnymi uszkami i łapkami; jego uwłosienie doskonale nadaje się na etole dla młodych pańienek, podbicia pod balowe płaszcze, dziecinne salopki i kapturki, z których uroczym wyglądają różowe buziaki, a nade wszystko, naszyte ogonkami czarnymi, do złudzenia naśladuje gronostaje. Królika rosyjskiego farbować można na wszystkie kolory i modne odcienie, dlatego też, jak już wspomniałam, jest bardzo wartościowy, zwłaszcza, odkąd przez umiejętne krzyżowanie poprawiono jedyną jego wadę, to jest drobny wzrost.

Oprócz królika rosyjskiego dobre do hodowli na futra są jeszcze: królik srebrysty, angorski, popielaty wiedeński, i zwyczajny rudy, przypominający lisy azjatyckie. Między szóstym, a ósmym miesiącem życia królik jest najodpowiedniejszym do zabicia, dosięga



2.

w tej porze szczytu swojego rozwoju: futro jego młode, gęste, jedwabiste z łatwością da się wyrobić. Jeżeli zbraknie nam odwagi do wyprawiania skórek—musimy oddać je do kuśnierza, który zrobi nam to za niewielkie pieniądze. Postarajmy się, jednak, spróbować i weźmy się do dzieła, ściśle podług niżej podanych wskazówek.

Obciążoną zwyczajnie skórę króliczą, dopóki ciepła jeszcze, czyści się dokładnie od wewnętrznej strony—zeskrobując z niej tłuszcz i wszelkie pozostałości mięsa i żyłek zapomocą specjalnego, do tej roboty przeznaczonego, zaokrąglonego nożyka, co nazywamy garbowaniem (rys. 1). Skórę, już prawie oczyszczoną, kładziemy w następujący roztwór: dwa litry wody, 200 gr. ałunu i 100 gr. soli morskiej. Sól i ałun rozpuszcza się w ciepłej, miesza z wodą i zanurza skóry w tej kąpieli, mającej 18-cie stopni Reaumura. Temperatury początkowej nie będziemy utrzymywali stale—uważając jedynie, aby płyn miał ją w chwili zanurzania skór. Trzymamy je 48 godzin w roztworze—obracając od czasu do czasu tak, aby równo miękły. Po wyjęciu, skrobiemy skóry powtórnie, aby doprowadzić je do stanu idealnej czystości—następnie, dla dodania im miękkości, starannie wycieramy miejsce przy miejscu pumeksem. Wkońcu rozwieszamy skórę na sznurze, futrem do spodu, często ją wycierając, zanim ostatecznie wyschnie. Wtedy, dla większego zmiękczenia, wyciągamy ją w dwie osoby, trzymając za brzegi od strony wewnętrznej i uważając, żeby jej nie rozedrzyć.

Drugi sposób suszenia skórek jest: wyciągnąć je, jak tylko można, na deseczce, przybijając małymi gwoździkami wzdłuż brzegów, naturalnie futrem do spodu. Gdy już zupełnie suche, posypać talkiem, wcierać go starannie w skórę, zawsze od wewnątrz, a nareszcie wytrzeć doskonale, dla usunięcia nadmiaru proszku, i wyczesać futro aluminiowym, lub żelaznym grzebieniem, dla nadania mu puszystości. Wyprawa skórek, choć wymagająca staranności, jest rzeczą względnie łatwą—za to farbowanie ich jest bardzo trudne i rzadko udaje się amatorom, to też, nie będąc pewnym rezultatów i nie posiadając potrzebnej tech-

niki, zostawmy tę skomplikowaną robotę fachowcom, a otrzymamy piękne naśladownictwo foki, popielic, skunksów i innych. Wiele osób używa futra króliczego w jego naturalnym kolorze, często bardzo ładnym. Zwykle kraje się skórę króliczą w pasy—trzeba ją rozłożyć na stole, zawsze futrem do spodu, rozmierzyć pasy—oznaczyć je linją ołówkiem, uważając, aby włos szedł w jedną stronę (rys. 2). Wtedy pociąć je wzdłuż linii ostrym szczyrykiem,—nożyczki nadwyrężyłyby włos—i pozszywać ze sobą po lewej stronie na okrętkę—bacząc na dokładne dobranie włosa i koloru futra. Dobrze dobrane, gęsto zeszyte okrętką od spodu pasy, wyglądają jak jedna skóra, z których wyrabiamy obszerne kołnierze do palt i pasy do obszywania u dołu i u rękawów okryć, sukien, zakietów itp. Robiąc pledy samochodowe, kapy na łóżka, lub kołderki na wózki dziecinne, musimy wpierw narysować sobie deseń, podług którego układać będziemy wycylowane kawałki, pozostałe od większej roboty—ładnie wyglądają pasy, kraty, gwiazdy lub liście dobierane z ukośnych pasów.

Do czego nie miałyby służyć nasza kuśnierskarobota, skórka musi zawsze być podłożona lekko watą i podszyta mocną podszewką np.: z atlasu hiszpańskiego. Jak widzimy, futro królików ma obecnie obszerne zastosowanie—największa zatem pora zająć się ich hodowlą.

Srebrzyste, rude i popielate mogą być z powodzeniem używane w kolorach naturalnych—białe w zimie i w lecie są noszone—i, czy to jako czysto białe, czy też farbowane odpowiednio, zawsze dają niezrównany materiał do wszelkich kombinacji. Ślicznie naśladują gronostaje, upstrzone czarnymi ogonkami wspaniałe tworzą peleryny, podbicia do eleganckich z brokatu lub aksamitu płaszczy balowych, zdobią okrycia młodych panienek, a dzieciom służą na płaszczyki, czapeczki, kołderki itd. Najmniejsze kawałeczki futra można zużytkować. Jakichby nie były kolorów, gustownie dobrane, starannie zeszyte i pomieszane z aksamitem, stworzą te śliczne, bardzo drogie i bardzo modne dzisiaj poduszki (rys. 3), o których nie każda z nas śmie nawet marzyć, ale każda może je sobie sama zrobić, jeśli tylko jest pracowita, zapobiegliwa i zręczna.

J. S.



3.

WILJA NA DALEKICH KRESACH

Staram się sobie uprzytomnić jeden z dni wilijnych w takim, już dziś zniszczonym przez Niemców, zrujnowanym przez bolszewików, odebranym — przez zaprzyjaźnione państwo, dworze. Już na tydzień przed wilją — tam „kucją“ zwaną, wre robota: pan rządca, jednocześnie piastujący godność łowczego, co głównie się ogranicza do władzy nad liczną strażą leśną, wysłał wici, aby co drugi gajowy stawił się do łowu ryb w jeziorze, na rzece i w stawach. Reszta gajowych musi pilnie czuwać aby pobliskie miasto nie zostało zbyt obficie zaaprowidowane w kradzione choinki, do połowu powinni się stawić strażnicy z ostępów liściastych. A trzeba koniecznie dostarczyć wszystkich ryb tradycyjnych, żadnego gatunku, uświęconego obyczajem, braknąć nie powinno. Pan by się gniewał, pani martwiła, a kucharz chyba sobie życie odebrał z rozpacz, jak słynny Vatel, gdy mu ryby morskie, na bankiet królewski przeznaczone, na czas nie przyszły. Goście, przeważnie rodzina, od dni kilku się zjechali; dwie babcie i dziadek całe wieczory grają w wista, wujowie i ciotki prowadzą przy koniaku nieskończone rozmowy, dzieci snują cudne marzenia o tem, co im choinka przyniesie, choinka, o której się śni rok cały, — no i wilja z sosem rodzenkowym, — o rybę mniejsza, to detal, ale sos rodzenkowy z migdałami, mleko migdałowe, syta miodowa, śliżyki z makiem, same specjały, tem smaczniejsze, że jada się je raz do roku tylko. Dzień uroczysty nadchodzi, zjeżdżają się ostatni goście, dostają tylko herbatę czystą, lub, jeśli zziębnięci, piwo grzane, czy polewkę winną, bo obyczaj każe nie jeść do pierwszej gwiazdki.

Nakrywają stół olbrzymi, gdyż dnia tego nietylko cała administracja z rodzinami, ksiądz proboszcz z odległego o staję zaledwie kościoła, lecz i cała służba, umiejąca przyzwoicie trzymać nóż i widelec, siada z państwem do stołu. Na folwarku jeszcze większe stoły, bo tam już liczba biesiadników setkę przekracza; w „kucji“ biorą udział oprócz służby niższej, tej, co to jeść przyzwoicie nie potrafi, wszyscy fonałe wraz z licznymi rodzinami. I tam wilja będzie obfita, zastosowana do gustów biesiadników, więc barszcz grzybowy, kapusta duszona z grzybami, śledzie zwykle i wędzone z kartoflami, ryby smażone na oleju z kwaszoną kapustą, groch i pszenica, pęczak i kisiel owsiany, podlane sytą miodową, nakoniec ukochany, kresowy, czerwony kisiel żórawinowy z makowym mlekiem. Przed biesiadą państwo sami i dzieci wszystkie przyjdą się podzielić opłatkiem i złożyć życzenia tej gromadce ludzi, której są serdecznie oddani i o której dobro, jak o dobro własnej rodziny, dbają.

Tymczasem wczesny mrok zapadł, dzieci wciąż czekają na pierwszą gwiazdkę; niestety, niebo nie jest pogodne, trzeba się zastosować do kucharza głównego i chwili, kiedy starszy służący, mimo lat sześćdziesięciu, zawsze „Jankiem“ zwany, ogłosi uroczyste: „do stołu podano“, i szeroko roztworzy drzwi jadalni. Dzielenie się opłatkiem, uściski, „dosiego roku“, i wszyscy już siedzą. I zaczyna się uczta, o jakich dziś tylko wspominamy.

Wszystko jest uświęcone tradycją, od niczego się uchylać ani na zdźbło nie można. Więc naprzód tyle gatunków śledzi marynowanych, wędzonych, faszeryowanych i siekanych, ile mieści zasób niesłychanie rozległych wiadomości pana domu, znanego na całych

kresach smakosza; z ryb zagranicznych, nie wiem do dziś, czemu, są dopuszczone jedne sardynki tylko. Potem czysty barszczyk grzybowy i cudowne, rozpluwające się w ustach, uszka w kruchem cieście. Następnie okonie olbrzymie z jajami, karasie zapiekane w śmietanie, szczupak olbrzymi, pudowy, faszeryowany z chrzanowym sosem, miętusy, a głównie ich wątróbki w pasztecie z francuskiego ciasta z rakowym sosem, majonez z sandacza, leszcz, radość dzieci, z rodzenkowym sosem, (i Fräulein, i Mademoiselle otrzymują surowy rozkaz pilnowania, aby dzieci się nie udławiły ością.) — leszcz na kresach północnych zastępował karpie, tam mało znane; liny na niebiesko, z sardelowym masłem, kapusta duszona z grzybami, w jakiejś fantastycznej formie z kruchego ciasta, której jednak nikt nie je. Nakoniec sielawy czy stynki smażone z różnymi sałatami.

Chwila dla dzieci najuroczystsza, teraz podadzą „kucję“ właściwą. Więc najpierw groch gotowany w całości, pszenicę, pęczak, ryż, fasolę i kisiel owsiany. Smaczne to nie jest, ale popróbować wszystkiego trzeba, bo urodzaj chybi. — Szczególniej ten kisiel owsiany — bardzo niesmaczny, ale nie zjeść go choć odrobinki grozi głodem konikom, a kotów nie kocha koników; więc przelęka się łyżkę kisielu owsianego. A potem już idą smaczne kisielki: żórawinowy, migdałowy i czekoladowy. Babcia posiada sekret urządzania z nich szynki, zupełnie podobnej do prawdziwej, i sekret ten przelała na kucharza. Szynka ta corocznie wzbudza podziw gości, i jest tryumfem jej autora, który, po wydaniu gorących potraw wilijnych, już siedzi w czystej białej szlafmicy, insygnjum godności piastowanej, i na końcu stołu dopędza — resztę biesiadników. Do kisielków oprócz syty miodowej — mleko migdałowe i makowe. Potem kompoty suszone i konserwowane, nakoniec śliżyki z makiem i miodem. I do tego wszystkiego miód stary i słodki węgrzyn, przywieziony z dalekiej, większości nieznannej, a tak sercu wszystkich drogiej, Warszawy.

Uczta trwa około trzech godzin, — ksiądz się zegna i wymyka, bo pasterka musi być wczesna, wierni już pewno na nią czekają. Ruch się robi, wszyscy się zaczynają ubierać ciepło, w futra i kożuchy, rozmaite ciepłe obuwie i szale, czapki z przeróżnymi systemami uszu, ciepłe rękawice. Wszyscy wychodzą na ganek, olbrzymi, stary ganek na słupach. Zajeżdżają jedne za drugimi sanie, zaprzężone w „szydło“, (w świecie sportowym taki zaprząg „tandem“ się nazywa), bo chociaż od rana „trójkątem“ oczyszczano drogę, przejechać jest trudno gdyż śniegu znowu nasypało. Starsi w saniach z siedzeniami, młodszy i służba na tak zwanych „rozwalinach“, pokrytych dywanami,

Z brzękiem dzwonek, śmiechem ludzi, parsaniem koni rusza korowód sań. Na czele sunie dwóch chłopców stajennych ze smolnemi kagańcami, oświetlać drogę. Kościół o staję, mimo zadymki widać go doskonale, rześście oświetlony, wszystkie dzwony dzwonią na radosną pasterkę; przez drzwi boczne wchodzi wszyscy wprost do presbiterjum, aby zająć miejsca w „kolatorskich“ ławkach. Z chóru się rozlega, najbardziej dla ludu wiejskiego zrozumiała, kolenda: „Wół, osioł, wół osioł przed Nim kłękają.“ — Czy to sen tylko, czy rzeczywiście tak było, — było rzeczywiście, lecz już nigdy nie będzie! *Pani Elżbieta*

KORESPONDENCJE DZIAŁU PRAKTYCZNEGO

Pani S. Z. z Siedliszcza. O książkę niech Pani zwróci się do księgarni Arcta Nowy-Świat 35, lub Gebethnera Sieakiewicza 9 w Warszawie. O hodowli królików na dużą skalę nie jest nam wiadomo.

Pani L. C. Ta nowskie Góry. Żółcią, rozprowadzoną przygotowaną wodą (kilka kropel na szklą kę wody), skrapia się lekko dywany po lewej stronie, wyciera kufry i szafy, uważając, aby jasnych rzeczy nie poplamić, ciemne i czarne można mocniejszym roztworem wytrzeć. Mole nie znoszą odoru i goryczy żółci, i raz nasycyony nią przedmiot na długie lata wolny jest od nich.

Pani J. K. Inowrocław. Jeżeli białe baranki można odpruć od pokrycia, to najlepiej uprać je w zimnym, rozbitem na pianę, mydle Lux, trąc szczotką miejsce przy miejscu. Skoro zupełnie czyste, dobrze spłókać, a następnie wysuszyć. Jak będzie suche, wytrzeć magnezją paloną, trzepać i czyścić dopóty, dopóki nie przestaną bielić. Jeżeli odpruć nie można, trzeba wyprać benzyną. Kwiaty z materiału podawaliśmy niejednokrotnie; postaramy się wkrótce znów to uczynić.

Młodej mężatce. W otworki, zrobione przez robaka drzewnego w meblach, wpuszcza się zapomocą małej szpryki 1 — 2 krople formaliny, a robaki odrazu znikną.

Pani A. St. Piotrków. Figury, mające być przydziergane do aplikacji, trzeba przylepić specjalnym klejem od fotografii, mającym tę zaletę, że zupełnie nie plami; następnie brzegiem przyszyć drobno wierzchem, a dopiero przydziergać.

Stałej prenumeratorki z **Polesia.** Wypchane ptactwo tylko bardzo starannym odkurzaniem można utrzymać w porządku. Nie wiem, co Sz. Pani nazywa „odświeżeniem“, jeżeli oczyszczenie pobrudzonych piór, najlepiej zrobić to benzyną, uważając, aby nacierać w odpowiednią stronę, żeby piór nie potargać.

* * *

Na liczne zapytania Czytelniczek, jak wykonać należy poszczególne wzory, radzimy nabyć książeczkę p. t. „Haft kolorowy“, która zawiera dokładną naukę wszystkich ściegów, oraz wzory naturalnej wielkości i kosztuje 1 zł. 50 gr.

Otrzymać ją można w Adm. „Bluszczu“, która dla Czytelniczek nie dolicza kosztów przesyłki.

* * *

Zawiadamiamy Nasze Czytelniczki, że jedna ze stałych współpracowniczek działu robót w „Bluszczu“ organizuje komplety haftów artystycznych. Informacje telefonicznie do 10-ej rano i od 3-ej do 4-ej pp. Telefon Nr. 273-34. Jednorazowe porady w sprawach robót.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO NR. 52

1174. Suknia balowa ze srebrnej lamy, haft kolorowy.
1175. Suknia z lila crêpe de chine'u, przybrana złotym galonem z haftu i paciorków.
1176. Suknia z jedwabiu i georgette'y koloru rezedowego.
1177. Suknia z georgette'y koloru lie de vin przybrana ciemniejszą aksamitką.
1178. Suknia z aksamitu ciemnozielonego i georgette'y do cieniu, kamizelka jasno popielata.
1179. Fartuszek z barwnego kretonu.
1180. Sukienka z płótna jedwabnego w dwóch cieniach dla dziewczynki pięcioletniej.
1181. Sukienka z wełny ponsowej, przybrana naszytami granatowymi.
1182. Fartuszek z płótna jedwabnego, objęty ciemniejszą satyną.
1183. Fartuszek z satyny, lub płócienna, oblamowany do cieniu.
1184. Sukienka z lekkiej wełny, lub jedwabiu dla dziewczynki sześcioletniej.
1185. Fartuch z czarnej satyny, stebnowany kolorem ponsowym.
1186. Sukienka z tafty granatowej dla dziewczynki dziesięcioletniej.
1187. Suknia wełniana z przodem i tyłem plisowanym riusza z jedwabiu.
1188. Suknia z crêpe marocain koloru wiśniowego, przybrana czarnym aksamitem.

1189. Suknia z crêpe marocain brązowego, przybrana złotą gipiurą.

1190. Kamizelka z welwetu wiśniowego.

1191. Bluzka z lekkiej wełny, z odciętym karczkiem.

1192. Bluzka z sukienka, przybrana haftem.

1193. Bluzka wełniana, wykończona haftowanymi ząbkami.

1194. Trzy śliniaczki dla małych dzieci.

1195. Szlafrok z niebieskiej flaneli objęty ciemniejszą plisą.

1196. 5 wzorów aplikacji i haftu do ozdobienia sukien i bluzek.

1197. Wzór na kilim.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, suknia fantaz.	zł. 3,50
suknia zwyczajna	„ 2,50
bluzka	„ 2,00
formy dziecinne	„ 2,00
bielizna	„ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran —	zł. 2,50,
poduszka — serwetka —	zł. 1,50,
drobne desenie —	gr. 75.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

WYDAWNICTWO



ŻYCIE PRAKTYCZNE

CO DWA TYGODNIE NOWY ZESZYT
STANOWIĄCY ODREBNĄ CAŁOŚĆ
JUŻ SIĘ UKAZAŁY:

„PRZYSTAWKI GORĄCE“
„OZDOBY CHOINKOWE“
„POTRAWY WIGILIJNE“
„WZOROWA PANI DOMU“
„ZIMNE PRZEKĄSKI“
„PORZĄDKI DOMOWE“

CENA KAŻDEGO ZESZYTU **1⁵⁰**

WYSYŁKA NATYCHMIASTOWA PO
OTRZYMANIU PIENIEDZY I ZAMÓWIENIA

TOW. WYD. „BLUSZCZ“
WARSZAWA PL. ZAMKOWY 99 KONTO P.K.O. 170.
ZA ZALICZENIEM NIE WYSYŁAMY